WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

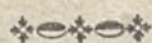
I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.



CZĘŚĆ DZIESIĄTA.

WILNO.

Józef Zawadzki własnym nakładem.



1835.

Dozwala się drukować pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno. 1835 r. d. 7. Września.

Cenzor L. Borowski.



LITERATURA,
WYMOWA I POEZYA,
STANÓW-ZJEDNOCZONYCH AMERYKAŃSKICH.

Co to jest imaginacya? można, na to pytanie, nielękając się popełnienia błędu, odpowiedzieć śmiało: jest to przypomnienie.

Ze wszystkich świetnych obrazów, które umysł ludzki przed się wyzywa, znayduje sięż byle jeden, któryby z pamięci nie wynikał? Połącz w jedno postaci, ludzką, końską, rybią i niewieścią; sarny i młodzieńca; utworzysz Centaura, Syrenę i Fauna: jeżeli się w składzie tych stworzeń poddasz prawom przyrodzenia, w téj zaś nowéj kombinacyi

znajdzie się harmonija z proporcyą połączona, chymera twoja będzie płodem imaginacyi szczęśliwéj. Jeżeli zaś przypomnienia twoje źle z sobą połączone, nie do sfory i niezgrabnie sprzężone, szykownéj całości złożyć nie potrafią; w takim razie napłodzisz dziwotworów. W jedném i drugiém z tych przypuszczeń, źrzódłem wspólném, z którego czerpasz, będzie pamięć. Obdarzony, mniéj lub więcéj żywą dzielnością przypomnienia, będziesz miał to, co pospolicie, płodną lub też jałową imaginacyą mianują; ale w twoich książkach, w twoich obrazach, w twoich pieniach, w twoich poematach lub też posągach, to, cobyś mniemał za utwory twojego wynalazku, gdybyś był nawet Dantem, Fidyaszem albo Rafaelem, będą to zawsze wrażenia twojego dzieciństwa i twojéj młodości, to samo coś widział albo czuł kiedyś: skarbiec przypomnień, których niedostatek stanowi głupstwo, pogmatwanie tworzy dziwactwo, obfitość zaś i pełność genijuszu staje się początkiem.

Nadużywamy pospolicie sprężystości mo-

wy, kiedy śmiemy o *pojęciach twórczych* rozprawiać; w istocie zaś nie masz utworów: rozmnażać w obrazach rzeczy byt mające, naśladować i przerabiać, dostateczném jest dla nas. Gdyby Homer, Cerwantes, Arjost, Bayron, przepędzili całe swe życie w zamknięciu, pytam się, imaginacya ich, cóżby wydadź zdołała? Jakiżby utwór dadź światu potrafili? Mózg ich próżny a myśl bezczynna, wydałyby tylko pojęcia błahe albo grubijańskie, odnoszące się do głodu, pragnienia, tudzież materyalnych potrzeb człowieka. Ale przeciwnie życie ich miotane było niewypowiedzianą czynnością w różne strony; tysiące wrażeń rozmaitych głęboko się wyryło na ich umyśle, obdarzonym od przyrodzenia dziwną, do ich przyjęcia, zdolnością. Dant widział Florencyą; i utworzył swoje *Piekło*. Teolog, wysławił *Raj*. Kochanek, wskrzesił *Beatrykę*. Człowiekowi temu, który, do swojéj komedyi niebieskiéj, piekielnéj albo czyscowéj, nie wprowadził żadnego wyrazu, któryby nie był przypomnieniem, żadnego pojęcia które-

by nie było kradzieżą na przyrodzeniu lub dziejach dopełnioną, a zaż brakowało na téj zdolności któréj miano jest fałszywe, lecz przy któréj wszakże naźwisko *imaginacyi* dawane jéj pospolicie, zostawić potrzeba.

Dziwaczną jest rzeczą, słyszeć krytyków i pisarzy urodzonych w takiéj epoce jaką jest nasza, rozprawiających zawsze o utworze wynalezieniu, imaginacyi. Wtenczas to właśnie, kiedy wszystkie obrazy nieskończenie powtórzono, kiedy wszystkie pojęcia, tysiąckrotnie pod rozmaitémi kształtami oddano, oni się, od sztuk, płodności i oryginalności niepodobnéj, dopominają. Ztąd to właśnie te potworne płody w literaturach zgrzybiałych, kiedy się już ku odpadnieniu w barbarzyństwo nachylają; ztąd te niesłychane osoby, dramata i romanse zaludniające. Występując za krańce przyrodzenia autorowie zdają się wynalazcami; szafując rozrzutnie pojęciami fałszywémi mniemają w wysokim stopniu imaginacyą posiadać, a wznosząc budowy na rzeczywistości gminnéj, dziwaczne i niezgrabne nowości wyradzają. Wy-

rażenie staje się wymuszoném i skręconém, kiedy myśl jest przesadzona i cudacka. Ale ztémwszystkiém, te niestosowności, te dziwotwory, ta różno-barwna bazgranina, są tylko źle użytémi przypomnieniami, snami chorego, widmami niesfornémi obłąkania, wywołaniem pomieszaném i przyćmioném, czynów i pojęć bez związku. Imaginacya ludzi obdarzonych genijuszem, wydaje namiętności i obrazy świata, jak wierne i jasne zwierciadło, piękną okolicę albo foremne oblicze powtarza: imaginacya fałszywa podobna jest do tych zwierciadeł obłych i wklęsłych razem, które optyk urządza w ten sposób, a żeby żadnego odbicia się dokładnie wyrazić nie zdołały; tam wszystko ci się wydaje, albo skróconém, albo przedłużoném nad miarę: jedno z tego dwojga jest tém, względem drugiego, czém jest karykatura względem portretu.

Jak niepodobieństwem jest dla człowieka pozbawionego przypomnień posiadać imaginacyą, równymże sposobem, zdolność ta umysłowa, nie może należeć do narodu tylko

co nastałego, którego cała przeszłość i całe dzieje są wczorajsze. Stany-Zjednoczone Ameryki, znamienite i okazałe, pod tylu względami, w istocie nader są nowoczesne; genijusz ich jest materyalny i mechaniczny; potęga się ich na zdrowym rozsądku, cierpliwości, postrzeżeniu i przemyśle gruntuje. Jest to (jakośmy tylko co powiedzieli) kraj pozbawiony imaginacyi albowiem przypomnień mu braknie. Krainy zestarzałe w klęskach, jak naprzykład Szkocya i Irlandya, wiele zamożności imaginacyi dostarczają. Téj zdolności świetnéj drogo się one dokupiły: nie masz żadnego zamku, któryby piętna krwawego na sobie nie okazywał; któryby nie miał swojéj legendy i swojego morderstwa; żadnéj warowni, którejby echa o krwawéj rzezi i gwałtownościach nie zwiastowały; atmosferę mglistą gór gallickich widma zaludniają; każde jezioro ma swoję wróżkę, każda jaskinia swojego czarnoksiężnika, tam mara Brusa (*Bruce*) błąka się po kaplicach; a imie Wallasa (*Wallace*) wszędzie się rozlega. Ale w Stanach-Zjedno-

zconych żadne się, z tych zjawisk, któreśmy tu przywiedli, nie znajdzie; czyny w nich historyczne nader są młode, nader świéże, nader rzeczywiste, ażeby je tradycya opanować mogła; jest tam zawiele i za mało dziejów ażeby się te do poezyi przydały. Sztuka, jaką Ameryka północna pojmuje, jest sztuką naśladowania i kopijowania; przerabia ona tylko wzory i w tąż za nimi postępuje. Nie własne ona wystawia przypomnienia lecz przypomnienia cudze powtarza: przetoż, ani literatura, ni też wymowa amerykańska, prawdziwéj dotąd samodzielności nie posiadają.

Mowa nawet Stanów-Zjednoczonych do nich nie należy. Nie jest ona córką téj ziemi, nie powstała ani z potrzeb ani z wyobrażeń téj krainy; przybyła z za morza i tam się osiedliła; gdzie się bez żadnego pokrewieństwa z krajem i klimatem nowym dla siebie utrzymuje. Dla zachowania czystości swojego stylu, pisarze amerykańscy przymuszeni są statecznie trzymać wzrok, w matkę ojczyznę wlepiony; tam się to wzorowy kształt ich

znajduje. Jeżeli się na coś nowszego targną, zaraz się czegoś gminnego lub napuszonego lękają. Podobni są oni, pod tym względem, do tych pisarzów nowożytnych, którzy używając języka zgasłego, mniemali, że nam Cycerona, Demostenesa, lub też Tyta-Liwiusza wracają. Zapomnieli, że społeczne życie ludu, wartość i energiję mowy jego stanowi, że język oddzielony od społeczności i obyczajów narodowych, jest gałęzią, od swojego drzewa odciętą i soków pożywnych pozbawioną. Dopóki język amerykański czystą tylko będzie angielszczyzną, bez zmiany i żadnych umiarkowań, lękamy się bardzo, ażeby dzieła genijuszu, w literaturze jego nader rzadkiémi nie były. Szkocyja nawet sama szczyci się dyalektem oddzielnym; do niéj należy znakomity poeta Burns, którego natchnienie gasło, ilekroć się tylko niewiernym dyalektowi prowincyi swojéj stawał.

Dalecy jesteśmy od téj myśli, ażebyśmy upowszechniać, albo podzielać mieli przesądy śmiészne różniące pomiędzy sobą narody,

podżegając zobopolne ich niechęci. Znajdują się jeszcze, prócz tego w Anglii przeciwnicy Ameryki, pomiędzy którymi, żeby nas rachować miano, bylibyśmy nieskończenie stroskani. Wiémy to, jak jest trudna, wydadź sąd bezstronny, nie mówię o naszych wrogach, ale nawet o naszych przyjaciołach, o naszych sąsiadach i bliźnich. Serce cudze jest tajemnicą do niezbadania największą bystrość zawodzącą; dosyć jest pozorów zewnętrznych, ażeby je wziąć za podstawę wyroku skwapliwego, który najczęściéj bywa fałszywym, opartym na pewnych symptomatach źle oszacowanych, albo na płonnych i lekkomyślnych wnioskach. Nie dajemy sobie dosyć czasu do poznania okoliczności w jakich się znajdują osoby przez nas sądzone, ani pobudek ich postępowania, ni też wpływów rozmaitych krzyżujących ich zamiary i miarkujących ich myśli: kiedy w najwyższym stopniu wyrok nasz jest nieprawym, zdaje się nam, że głosowi samego jedynie sumienia posłuszni jesteśmy. Przetoż i Amerykanie osądzeni zostali za lud

gminny i złego tonu przez tych, którzy w gospodach tylko zasiadali stoły; jedni za fanatyków, drudzy za ateuszów ich udawali; a wszyscy prawie krytycy zgadzają się na to, że im braknie genijuszu. Oszacowanie dostateczniejsze ich położenia społecznego sprostowałoby niesłuszność tych wyroków. Ujrzanoby w nich krainę dziewiczą, pełną wielkości, któréj się zapasy z przyrodzeniem jeszcze nie skończyły; któréj przeto energija cała zwracać się powinna ku zakładaniu miast, rozwijaniu przemysłu; krainę mówię, któréj przyszłość jest ojczyzną, a któréj na przeszłości zbywa.

Anglija, któréj przyszłość jest ciemna, groźna, straszliwa, któréj przeszłość jest dramatyczna, w poezyją i tradycyje zamożna, musiała koniecznie sądzić o Ameryce z niesprawiedliwością mimowolną i okrutną. Nie jestże to historyja całego świata? Żołnierz spogląda na księdza jak na hypokrytę, albowiém ksiądz odziewa się czarno; ksiądz znowu poczytuje żołnierza za potępieńca, ponieważ angielski żołnierz odziany jest w bar-

wy czerwone. Jesteśmy tak lekkomyślni, że w oczach naszych kolor sukni o charakterze stanowi: owoż wielu bardzo mały szacunek powzięło ku Amerykanom, jedynie przez wzgardę dla pewnych wyrażeń gminnych powstałych w Bostonie i w Nowym-Yorku a wyśmianych przez wędrowników.

Naród ten musi bydź wielkim, który tak mało jeszcze oddaliwszy się od swojéj kolebki, już, w równi z Angliją, pod względem cywilizacyi przemysłowéj postępuje. Początek jego instytucyj, utwierdzenie się ich tak szybkie i tak energiczne, dzielność jakiéj nabyły wraz za piérwszym krokiem, naród ten, od wszystkich narodów świata odróżniają. Po cóż tedy wymagać od Stanów-Zjednoczonych tego, czego im położenie ich odmawiało? W umiejętnościach moralnych, politycznych, i fizycznych czegoż więcéj mogli oni dokazać? Jakiż kiedy lud w świecie stanął w równi ze społecznościami cywilizowanémi inaczéj, jak tylko przez powolne i nieznaczne postępy? Widzimy, jak Rzymianie, Grecy, narody nowoczesne, wy-

dobywając się powoli z ciemności, jaśnieją blaskiem pomnażającym się z laty, tworzą oraz literaturę i utwierdzają stan społeczny, nie za jednym podlotem lecz co raz wyżéj, ze szczebla na szczebel postępując.

Zjawiskiem, które postrzegamy w rocznikach Związku amerykańskiego jest szybkość w postępie. Narod ten zaledwo poczęty już urosł w olbrzyma. Nie ma on ani dziecińAs.twa, ni też młodzieńczego wieku doby. Dojrzałość jego wiek pacholęcy popędza. Przeskakuje on całą przestrzeń, która mowy narodów od epoki potęgi ich oddziela. Nie masz w jego dziejach przejścia od niemowlęctwa do męzkości; żadnéj z tych epok, których pasmo przez tradycyją ubarwione, wyświęcenie potém poezyi przyjmuje. Owo jego żołnierze, jego prawodawcy, jego rękodzielnicy: poeci, wy się poźniéj narodzicie. Mnemozyne Muz rodzicielka, nic wam nie ma jeszcze do opowiedzenia.

Wyrzekliśmy wyżéj, iż zdrowy praktyczny rozsądek, w dziełach umysłowych amerykańskich panował. Rzut oka na pisarzów

najznakomitszych, których kraina ta wydała, prawdę twierdzenia tego udowodni.

Najpiérwszym z nich jest Benijamin Franklin: szlachetny wyraz genijuszu narodowego; nigdy żaden człowiek dalej filozofii experymentalnéj nie posunął, ni też mądrości prostéj i bez wystawy; doskonały polityk, sumnienny i biegły dyalektyk, instynktem się tylko jedynie, prawdy połączonéj z pożytecznością, powodował. W jego stylu wszystkie się przymioty jego myśli jednoczą: jasność, omasta, dobrotliwość względem ludzi, skromność i czysty zdrowy rozsądek jego znamionują. Nie odwołuje się on ani do przypomnień, ani nawet do nadziei; żadne się odcienie namiętne, w mowie jego nie przebija. Jest to jedynie sam rozum, słodki, rozweselony, uprzejmy, surowy wszelakoż a zawsze dobrą wiarą idący. Nazwij go prozaicznym i pospolitym, cień jego nie oburzy się przeciwko tobie; potrzebaż było krajowi jego poetów albo artystów? Dobroczyńca Ameryki, więcéj się jéj przysłużył przez jedno lub dwa dzieła dobroduszne i popularne,

aniżeliby tego zamożni w wyrazy mowcy, nadobni rymotworcy obdarzeni pięknym dowcipem dokazać zdołali. Czytaj przedziwną jego *Parabolę przeciwko prześladowaniu*; natchnienie wymowne Ewangelii w niéj oddycha; jego *Biédny Robin*, książka podręczna, przeznaczona dla ludu w dziécińslwie jeszcze zostającego, którego słabémi krokami paski jeszcze kierują; jego *Rozważanie przed radą udzielną*, arcydzieło bystrości politycznéj. Znajdziesz tam, pod formami dobroduszności, potęgę, giętkość i rozległość tego umysłu rzadkiego, z rzadszą jeszcze cnotą połączone.

Nieco przed wybuchnieniem rewolucyi amerykańskiéj, ukazała się książka mało dziś już znajoma, lecz któréj ton ze stylem są charakterystyczne; *Listy Ziemianina amerykańskiego*. Ktokolwiek bądź jest autorem tego dzieła, noszącego miano podłożone: Hector Saint-Jean, zasługuje ono na zacne miejsce w poczcie płodów piśmiennych, nie tylko w Ameryce ale i na całym świecie. Obraz krainy, obyczaje, mowa, u-

czucie, wszystko tam jest ściśle amerykańskiém: dotąd, jest to może jedyna książka, w którój prawdziwe wystawienie rzeczywistego życia jest naturalnie poetyczném. Cały byt osadnika znajduje się tam wydany, już to z energiją pełną zapału, już z ujmującą prostotą; nigdzie przesadzenia, ani w przymiotnikach ani w kolorach nie widać. Znajdziesz tam nie tylko przedmioty, ale uczucia i wyobrażenia kraju młodzieńczego jeszcze: oglądasz tam autora przywiązującego do pługa którym orze, kolaseczkę swojéj drobnéj dzieciny i wraz z nią, pług po broździe wodzącego, wtenczas, kiedy żona siedząca na drugim końcu pola pod drzewem, zatrudnia się dzianiem wełnianych sukień na zimę. W innem miejscu walka dwóch wężow, któréj opowiadanie jest poważne i uroczyste, jak bitwy w Homerze: potężne wrażenie, jakie sprawiła na autorze, wydaje się całkowicie, w tym stylu okazałym, łatwym i obfitym: gdyby jeden z tych bohatyrów był Hektorem, a drugi Patroklem, autor nie mógłby dobrać szlachetniejszych wyrazów.

Znajduje on, na wszystkie przedmioty, które go uderzają, odcienia pełne życia i powabu: nie maluje on przyrodzenia, w swoim zamknięty gabinecie; nie przeistacza się w rymotworcę opisowego; ale je takiém jakie ogląda wystawia. Nie zapytuje on nigdy, o to siebie, co salony paryzkie albo londyńskie o dziele jego pomyślą? czy dziennik jaki mu nie przygani? czy nie okryją je uszczypliwémi epigrammatami? Wykwintność nadstawna miast wielkich, udawany ich cynizm, ich gorzkie urągowisko, ich fałszywe roszczenie sobie prawa do entuzyazmu i exaltacyi sentymentalnéj, kolorów których do malowideł swoich używa, nie każą. W niczém on nie przesadza; nie wymyśla karykatur. Patrzaj, jak się z całéj dobroci swojego serca miesza do zabaw ludu w Nantucke'cie; jaka chyżość i zwinność, jaka potęga energiczna przemysłu i pracy, na wszystkich jego kartkach oddychają; jak jego serce bije społem, ze wszystkiémi témi sercami; jak nas przymusza łączyć się do niebezpieczeństw połowu wielorybów, ażebyśmy potém uczestnikami biesiad

i uciechy, wieńczących te niebezpieczeństwa zostać mogli. Pod wszystkiémi szerokościami jeograficznémi, nie sąż to najwyborniejsze rzeczy, zdrowie, niewinność i uciecha? Umiéć je wystawić w taki sposób, ażeby czytelnika do ich uczestnictwa wprowadzić, nie jestże to rzadki i znakomity talent? A jakiegoż to nie potrzeba talentu, ażeby zapomnieć o sobie samym, nie myślеć ani o swoich czytelnikach, ani o swojéj miłości własnéj, i tak ścisłém połączyć się współczuciem z naturą, ażeby téj sympatyi drugim udzielić? Na téj świéżości uczuć, na tém zrzeczeniu się egoizmu, zbywa pospolicie płodóm amerykańskim: od czasu, kiedy Stany-Zjednoczone podniosły się do stopnia piérwszego narodów cywilizowanych, podobnémi zostały tym dorobkowym pankom nowéj daty, którzy zawsze się troszczą o to, czy są dosyć wytwornie ubrani, czy ich obejście się dostatecznie jest ukształcone, czy tłumaczenie się tchnie wykwintną i górną wymową; bez przestanku porównywają siebie do tego wszystkiego co ich otacza; uwziąwszy się nigdy w zły ton

nie wpadać, są zawsze wysztafirowani, wymuskani, wyprężeni; słowem wszelkiéj snadności i swobody w obejściu się pozbawieni, zadają sobie siła straszliwego trudu ażeby zostać nieznośnémi. Nasz zaś autor przeciwnie, tak pisze, jak myśli i czuje: niektóre nawet części dzieła jego, dosięgają do pewnego stopnia dramatycznego interesu niepospolitego wcale. Wybuchnienie wojny amerykańskiéj przyspasabia się; oddalony grom nawałnicy słabo się jeszcze i głucho rozlega; Indyjanie wrzaski wojenne podnosić i zalewać odległe plantacyje nadbrzeżne zaczynają. Kolonija utworzona zaledwo, może uledz w zapasach. Te złowrogie przepowiednie zasmucają czytelnika; i kiedy składa książkę, potrzeba koniecznie, ażeby go historyja zapewniła i przeświadczeniem dodała serca, że te trwogi osadnika, zgubnych następstw nie miały; że kolonija w dzieciń每stwie udusiła węża swéj kolebki tryumfując nad wszelkiémi przekazami.

Niechaj się nikt nie zdumiéwa nad rozwinieniem nieco przydłuższém może, ja-

kieśmy dali naszemu mniemaniu względem dzieła mało znanego, a które godne jest bydź niém najbardziéj. Nie kwapi się szukać krytyka przedmiotów swoich panegiryków pomiędzy książkami bezimiennémi i mało mającémi rozgłosu; woli ona poddymać żarzewie, na którém, od dawnego czasu, u stop jakiegoś bożyszcza uświęconego, wonne kadzidło goreje: jest to wygodniejsze rzemiosło, zawsze powszechném zdaniem stwierdzone.

Trzecim znakomitym pisarzem, którego napotykamy w literackich Ameryki rocznikach, jest logik, którego sława w Europie nie zdaje się bydź głośną, lecz któremu należnych zalet nie podobna zaprzeczyć. Jonathan Edwards, stanu duchownego, urodzony w Massachussets, napisał *Traktat o Woli*, który go w rzędzie najsubtelniejszych, najdzielniejszych i najsumienniejszych pisarzów umieszcza. Jest to człowiek, który nie tylko dowieśdź chce tego co utrzymuje; lecz przed wszystkiém, stara się zaspokoić samego siebie. W jego uczciwym i szczérym

sposobie dowodzenia, nie znajdzie się żaden wykręt, podstęp, sofizmat lub też paralogizm. Jeżeli się znajdzie zarzut jakowy, nie usiłuje on odmienić jego znaczenia, lub też go osłabić. Czytaj go tylko; a po nim znajdziesz niewątpliwie Hobbesa dogmatycznym, a zarozumiałym i zuchwałym Priestley'a. Z jaką on doskonałą dobrą wiarą kusi się o wyjaśnienie trudności zawikłanych w które się myśl pogrąża, zabiérając się do teoryj o wolnéj woli.

W tych trzech pisarzach uznajemy wymowę szczerą, szczęśliwą łatwość, rozum dojrzały i bystry: ale nie upatrujemy nic w nich takiego, coby ich odosobniało głęboko od wszystkich innych pisarzów. Ziemianin amerykański, jest może zpomiędzy nich jednym, który przez świéżość i nowość swoich obrazów najwięcéj ma powabu, i nayjawniejszą się oryginalnością odznacza. Franklin zbliża się do Fenelona, Sokratesa i Adisona. Jonathan Edwards ma coś w sobie ze sposobu dowodzenia dzielnego, czystego i natarczywego, który Dekarta

(*Descartes*) znamionuje. Ale na wymowie namiętnéj i na imaginacyi poetyckiéj wszystkim tym pisarzóm zbywa.

Przed kilką laty Brown probował wzbogacić kraj swój tym rodzajem chwały, któréj mu jeszcze nie dostawało. Mąż obdarzony genijuszem pojmował namiętność i wyrażać ją umiał. Zamiast ustępowania bojaźliwym szkrupułóm, które współrodaków jego znamionowały, poważył on lekce krytykę starając się jedynie o sposoby czynienia dzielnych wrażeń. Na nieszczęście, wrażenia te są sztuczne, Szatani Browna są fałszywymi szatanami; jego potwory są wypadkiem ułożonego z góry namysłu; silenia się jego wyobraźni są uniesieniami pojętności chcącéj tworzyć, ale która, w niedołęztwie swojém chymery tylko wyradza. Pojąć trudno, jak śmiészny zbytek podbudzania się czuć się daje w jego płodach, w których wszystko jest zmuszone, gwałtowne, niestosowne. Nic w nich nie masz dobrowolnego, nic naturalnego i prostego; zawsze konwulsyje, nadętość ustawiczna; okropność na okropność.

Skądże wynika to przesadzenie wygórowane? Po co niesłychane to przejście do patetyczności, czegoś olbrzymiego, romansowego, fantastycznego i cudotwornego. Oto stąd, że nowa społeczność amerykańska, nic w sobie patetycznego, nic cudotwornego, nic olbrzymiego i okropnego nie zawiéra. Drama, w Stanach-Zjednoczonych jest exotyczném; ody i tragedyi rozumieć tam nie mogą, chyba tylko w sposób niedokładny; domniemywać się ich raczéj nie zaś czuć są zdolnymi.

Ojczyzna Benijamina Franklina nader jest rozumną, ażeby poetyczną bydź mogła. Wyobraźmy sobie drama, do któregoby występek zgoła nie wchodził, z któregoby zabobonność i namiętność wygnane były. Oczyścić świat z przesądów, namiętności i występków, oto jest cel, do którego Amerykanie zmierzają. Mają oni domy pokuty, swoje systemata poprawy karnéj, swoich kwakrów, swoję policyją czujną, swoje ulice pod sznur wyprowadzone; wszystko u nich, według prawideł nader dokładnych po-

stępuje, po gościńcu zbyt prostym i nadto równym, ażeby romans i drama udadź się tam mogły. Wypuśćże tedy istoty nadludzkie po tych ulicach otoczonych budynkami, wzór foremnéj architektury wystawującémi; niechaj wystąpi Otello albo Hamlet wśrzód tych obyczajów wymierzonych i wyrachowanych; wprowadź widma do téj Ameryki północnéj, gdzie wszystko jest dokładne i jasne; skąd wszystkie przesądy i zabobony są wygnane. Niechaj duchy szkockie, upiory dalmackie, sylfidy wschodnie, ośmielą się pokazać tam, gdzie zbójca na dobrowolnéj drodze jest rzeczą nadzwyczajną, gdzie jawność postępków swoim jasnym potokiem, wszystkie czynności rządu i obywateli oświeca; gdzie starają się leczyć zbrodnią, podobnie jak się leczy gorączka; gdzie żebractwu zapobiega się przez lekarstwa miejscowe, fanatyzmowi przez tolerancyją i mnóstwo religij. Nie wiém jaki pisarz francuzki powiedział, że w kraju, w którym każdy wędrownik ma swój paszport, romans staje się niepodobieństwem. W Ameryce, gdzie

ludzie są ogrodzeni i ponumerowani, gdzie się wszystko na swojém znajduje miejscu, romans nader jest trudnym.

O Brownie już zapomniano. Jest to los nieuchronny wszelkiéj literatury przesadzonéj. Barwy fałszywe spełzają prędko: niszczy je samo ich wysilenie.

Washington Irwing, skromniejszy i szczęśliwszy nie sięgał po oryginalność; winien on jest sławę, która go otacza, nie wyskokóm imaginacyi, nie myśli twórczéj, ani wysokiemu pojętności wygórowaniu, ale naśladownictwu powabnemu dawnéj literatury angielskiéj. Jest to przerys na papiérze jedwabnym, a przerys nader nie śmiały Addison'a Stila (*Steele*) i Swift'a. Wszystko, co on pisał, jest atłasowane, z wyzłacanémi brzegami w różowéj oprawie. Świetny, łatwy, lekki, poprawny, równy, podoba się, niewzruszając bynajmniéj: uczuciom które on wzbudza, zbywa na potędze. Rzekłbyś, że to jest panienka wysokiego rodu, dobrze wychowana, lecz niewolnica przyzwoitości, nie pozwalająca na nic, coby przystoj-

ność obrazić mogło; niepodnosząca nigdy głosu, nieprzybiérająca nadstawnego tonu, niepopełniająca nigdy grzechu wymowy, a strzegąca się nade wszystko poddawania się wzruszeniom namiętnym, zapał albowiem jest częstokroć gminnym. Nie mamy zamiaru poniżać nader rzeczywistéj zasługi, ani ujmować wagi talentowi, w którymeśmy sobie upodobali. Nikt lepiéj nad nas nie czuje wyborności tego stylu dalekiego od pretensyi, bez nadętości, ale nie bez wdzięku, którego koloryt tak jest harmonijny, forma tak czysta; lecz nie możemy taić przed sobą, że pod témi przymiotami nawet, nieco się słabości ukrywa.

Dodajmy do tego, że zaleta charakterystyczna P. Irving'a nic w sobie istotnie amerykańskiego nie zawiéra. Ku Anglii to jedynie, wszystkie myśli jego są zwrócone; do niéj się to tylko wszystkie jego chęci i wszystkie przypomnienia odnoszą: składa jéj cześć szczególniejszą, zabobonną, poetycką, i za taką ją uważa, jak jest, przez pisarzów z czasów królowéj Anny, wystawiona. Nie

powiadaj jemu, że ta Anglija Addisona, jest idealnością zbyt upięknioną; nie będzie ciebie słuchał bynajmniéj: daremniebyś jemu dowodził, że *Sir Roges de Coverly*, jest wymysłem podobnie jak *Don Quichotte*, osobą wpół-symboliczną, któréj człowiek obdarzony talentem, czynów, mowy i ubioru dostarczył. W oczach Washington'a Irving'a, wszystko to, co współcześni Pop'a napisali, jest słowem ewangeliczném. Ich to on obroty wyrażeń powtarza, od nich wysłowienia zasięga. Podoba mu się wszystko, aż do gościnności hucznéj i pijanéj owych czasów: widzimy, jak mieszkaniec jakiegoś kwadratowego domu w Bostonie albo w Nowym-Yorku, błąka się w marzeniach swoich po wysadzonych ulicach kensingtońskich, przeniesiony w te czasy, kiedy się tam Stern ze swoimi przyjaciołami przechadzał, wybiéra sobie na to byle jakieś pomieszkanie siedmnastego wieku, i różowym się kaftanem przyodziewa. Nie rozbudzaj go: zdaje mu się, że ginie w zakrętach ciemnych ulic starego grodu; słyszy gwizdanie wiatru u o-

gromnych okien i kołysanie się wiech ocię-żałych, przeciwko którym tak się często dą-sał Addison, postrzega. Cała przeszłość Washington'a Irving'a tam się zawiéra; przez szczególniejszą zaś osobliwość, któréj ocenienie zostawujemy czytelnikóm naszym, najwytworniejszy z autorów amerykańskich, najdoskonalszy pomiędzy nimi, czerpa swoje natchnienia gdzieindziéj, nie zaś w Ameryce; zamiłował sobie przypomnienia feudalne u-pięknione i osadzone w ramy ze szczątków obyczajów arystokratycznych staréj Europie wydartych.

Przyniósłli on nam choćby jednę gałązkę ułamaną z lasów amerykańskich, czy też piórko wypadłe ze skrzydła krasno-barwego lub pozłacanego ich ptaka? albo kwiatek na stepach uszczkniony? lub ułamek dzikiéj opoki? Nie; cokolwiek się w nim tylko po-wabu i szlachetności zawiéra, nie należy do sfery pierwotnego w kolebce ludu. Żywe krynice, na łonie puszczy odwiecznéj sze-mrzące, daniel który ją przebiega; chałupa kolonisty, jezioro jasnéj błękitnéj wody, nie

zwróciły jego wzroku na siebie; o chwałę to europejską on się ubiegał; chciało mu się prędkonikłych wieńców, któremi dzienniki angielskie szafują, i te otrzymał.

Lecz téj wziętości powszechnéj pomiędzy nami czy niezadrogo się tylko dokupił? Irving jest naszym pochlebcą; odpłacamy mu pochwałą hołdy i nadskakiwania dla nas łożone. Pieścimy go, oklaskujemy, kochamy; grzeczność i uprzejmość narodowa nie mogła mniéj uczynić dla człowieka głaszczącego wszystkie przesądy angielskie, który czci nasze zamki starożytne, pada na twarz przed naszémi strzelnicami i wieżyczkami, zadaje sobie mozolną pracę w przetapianiu naszych myśli, w przerysowywaniu naszego stylu i w dogadzaniu całemu naszemu egoizmowi. Jestże pochlebstwo delikatniejsze, i mogliżeśmy zostać względem P. Irwing'a niewdzięcznymi?

Żadne nie zachodzi podobieństwo pomiędzy Washington'em Irvingiem, którego dzieła zupełnie są angielskie, a Kuperem (*Cooper*) najrzeczywiściéj amerykańskim ze

wszystkich, swojego narodu pisarzów. Jest to romansista, któremu nie jeden zarzut możnaby uczynić; ale oryginalności zaprzeczać mu niepodobna: czerpa on swoje opisy, swoje natchnienia, swoje pojęcia, w krainach, na których się łonie urodził; wystawując zawsze przyrodzenie transatlantyckie, jest wprawdzie drobiazgowym, wpada w długości, lecz zawsze w nim autora amerykańskiego, w całém znaczeniu widzimy. Błędy, jakieby w nim wytknąć mogła krytyka, należą do narodowości amerykańskiéj i same nawet nie są pozbawione interesu. Kuper jest najsumienniejszym z opowiadaczów, można w nim znaleźć opisanie najdokładniejsze całéj miejscowości, tudzież najdrobniejszych należących do niéj szczegółów, co niekiedy ciąg powieści przerywa; i to jest właśnie uchybienie, tego arcy pięknego talentu, które wszelakoż świetnych jego zalet nie zacienia. Jeżeli Kuper jest niewolnikiem przedmiotów fizycznych i zewnętrznych wrażeń, niewola ta połączona jest z prawością: powtarza on je szczérze i dokładnie mniéj się troszcząc o barwienie, na

którém zyskaćby mogły: ależ Kuper przynajmniéj nie kłamie, chociaż niekiedy rozprawia zadługo. Genijusz jego jest prozaiczny, lecz ta prozaiczność z rzetelną się prawdą, nierozdzielnie w nim jednoczy. Czytaj jego arcy-dzieło *Sternika*, ten romans mało rozumiany, którego dwóma bohatyrami są Ocean i Okręt; dzieło przedziwne co do jedności i mocy; całe przejęte jeszcze wonią morską, okryte pianą i słoną wodą nasiękłe; ubóztwienie tryumfu człowieka hamującego ocean jak niesforngo rumaka. Znajdziesz tam wszystkie rzadkie zalety autora a bardzo niewiele jego błędów.

Rozważyliśmy przelotem zalety Benijamina Franklina, Ziemianina amerykańskiego, Jonathan'a Edwards'a, Washington'a Irving'a, Browna i Kupera, wraz z ich prawami do chwały lub wziętości. Moglibyśmy przytoczyć jeszcze Joela Barlow'a, autora *Kolumbijàdy*, poematu któremu ani na wytworności ani na mocy nie schodzi; Paulding'a, którego romans ostatni *Kominek Hollendra*, jest wdzięczną

elegiją, naśladowaniem lubém *Wikarego z Wakefieldu*; bijografa brata Jonathana pisarza dowcipnego, lecz z dziecinną przesadą, dla którego kretowisko jest zawsze górą, a miska mléka oceanem. Dzielność utworu, energija i oryginalność pojętności, nie dają się dostrzegać u żadnego z tych autorów w tak świetnym stopniu, ażebyśmy ich pomiędzy genijusze policzyć mogli. Doktor Channing, najwymowniejszy z pisarzów duchownych, jakiego tylko Ameryka wydała, dłużéj uwagę naszę zastanowi; charaktery gatunkowe jego ludu i jego kraju, znajdują się na jego dziełach wyryte. Wydają się tu jeszcze, chociaż pod inną postacią, też same szkrupuły, taż trwożliwość, taż bojaźń dotknięcia czytelnika.

Nie wiém azali jest wymowa zupełnie bezstronna; owoż tę to bezstronność, słuszność, równowagę mniemań, odpowiedność wzajemną wzdaniach, doktor Channing ustanowić usiłuje. To jest rzeczą sprawiedliwą i słuszną; lecz i owo równie też nią bydź może, teoryje najsprzeczniejsze z sobą mo-

gą się utrzymywać, wszystkie mniemania mają swą stronę podobną do prawdy i ujśdź mogącą. Doktor Channing wszystkiémi się témi sprzecznémi zdaniami otacza; stara się je zebrać w jedno i z nich rzecz pospolitą utworzyć; do téj jałowéj pracy taktykę i dyplomacyją nieporównaną stosuje; potępia i rozgrzesza, nagania i uwielbia; nie tylko jest eklektycznym, ale gościnność jego bez granic dla wszystkich teoryj stoi otworem. Przesąd starowieczny, ma swoje zalety; dziwactwo nowoczesne, swą korzyść; można bronić jednego, wojny drugiemu nie wydając; można wymodz na wszystkich stronnictwach potwierdzenia oznakę, i niezaciągając się pod żadne sztandary wyłudzić sobie sławę.

Naganiajmy tę niespokojną i sromotną filozofiją, która nie śmié ani wybrać sobie szczeréj drogi, ani też dobrą wiarą swojego systematu oświadczyć. Przygana nasza wszelakoż, stosując się do pisarza którym się zajmujemy, wraz na Amerykę i na jéj obyczaje spada.

Błądzi ten bardzo kto mniema, że demokracyja rozwijaniu się umysłowemu, tudzież czynniejszemu krążeniu myśli sprzyja. Najpiérwszym bodźcem demokracyi jest potrzeba równości, uczucie częstokroć nienawistne, zazdrośne swoich przywilejów, które rozciąga wszystkie umysły i wszystkie wieki na łożu Prokusta, prowadzi wszystkich ludzi w równym szeregu, jak żołnierzy na paradę. Arystokracyja uważana jako panowanie wyższości uznanéj, jako władza tego, co jest siłą pojętności, mocą moralną, jest wielkich dzieł twórczynią; pojęcia massy zawsze są niedostateczne, powierzchowne, samolubne; gminna pospolitość którą są przejęte, podłość nikczemna jaką są znieważone, udzieliłyby się płodóm umysłu i sztuki, gdyby się artysta nad ten gmin pospolity nie wznosił i daleko przesądów jego nie odrzucał od siebie. Gdyby Fidyasz nie idealizował swoich wzorów, gdyby Homer nie połączył w jednę poetycką całość podań rozrzuconych o wojnie trojańskiéj, gdzież byłaby sztuka i w cóżby się poezyja obróciła?

Jeżeli, pod jednę równią, lud chce zniżyć wszelkie pojętności i wyobrażenia, które według niego ciążą na pewne stany towarzystwa; zabija genijusz. Już tam po wolnych mniemaniach, już po światłości i sile pojęcia. Potworny ostracyzm wypędza z rzeczypospolitéj to wszystko, cokolwiek choćby na cal jeden przyjętą miarę przechodziło, wszystko coby za oznaczone przekraczało krańce: biada imaginacyi wyniosłéj któraby się otrząsnąć z téj podległości chciała! klątwa na myśl któraby się oddalała od linii pospolitéj i zakreśliła swoję drogę zdala od powolnéj trzody! Ztąd to wynika to nikczemne potakiwanie wyobrażeniom już przyjętym, jezuityzm giętki i łatwy, oraz głęboka jałowość. Kiedy każdy powinien tak bydź jak wszyscy, toż koniecznie pojęcia mierne wezmą górę; one są najobszerniéj rozsiane; a ktokolwiek przeciwko nim się uzbroi, znieważy powszechność, uwłoczy jéj całéj w osobie każdego jéj członka: takiego to właśnie, za powszechnego nieprzyjaciela poczytują. W takim stanie rzeczy nikt nie chce popeł-

niać zbrodni *obrażonéj - gminności*; każdy myśli jak wszyscy; tłumi się oryginalność dowcipu, wszyscy postępują w jednym szeregu i jednostajnym krokiem, nikt z trzody nie chce bydź *czarném bydlęciem*: przetoż ta mniemana wolność, jakiéj zdają się niektórzy używać, równa się niewoli myśli i umysłowemu ujarzmieniu.

W monarchii opinija publiczna zawsze ludzi na drogę rozumu i prawdy nawraca. Skoro się tylko szala pochyli zbytecznie na jednę stronę, natychmiast, ją mniemanie przeciwne nazad przeciąga; a z tego ścierania się mniemań przeciwnych wyiskrza się prawda. Kiedy, przeciwnie, w ręce ludu popadnie władza nieograniczona, wszelka różność w pojęciach staje się zbrodnią, inkwizycyja zaprowadza się wszędzie, a każdy ojciec rodziny, zamienia się niewinnie skąd inąd, w zausznika świętego trybunału republikańskiego.

Ten grzech demokratyczny, ta potrzeba zniewalania na swoję stronę ludu i podobania się wszystkim, łatwo się daje w dziełach

doktora Channinga rozpoznać. Truna Mahometa zawieszona między niebem a ziemią, w bardziéj się niebezpieczném położeniu nie chwieje· Lubi on wolność, ale nie zaprzecza, że i despotyzm swoje ma korzyści. Pragnie, ażeby mu Europa przyklaskiwała, ubiega się wszelakoż i o pochwały Ameryki. Ma on oczy wlepione na dwa zarazem światy, drżący o uchybienie jednéj ze dwóch popularności, do których zmierza, kłaniający się wszystkim stronnictwóm, głaszczący wyrazem pochlebnym wszystkie sekty, zachowujący dla siebie sposobność odwrotu, i schronienie we wszystkich mniemaniach: unitaryusz lecz bez przesady; usprawiedliwia nadużycia kościoła rzymskiego, uznając zalety i wymowę filozofii francuzkiéj, tak często o ateizm obwinionéj; kocha rzeczpospolitą i broni Burbonów; nie odrzuca jezuitów, zgadzając się na ich przewinienia; lży Bonapartego, nie podając w wątpliwość jego genijuszu: nie jest nieprzyjaznym ani imaginacyi, ani też dowcipowi, byleby tylko umiarkowanie za prawidło im posługiwało i

powaga od nich była nieodstępną; szacuje nieskończenie filozofiją krytyczną, ale wtenczas tylko kiedy się ona z religiją jednoczy; oświadcza się poświęconym dla interesów wiary, byleby się tylko ona z tolerancyją nie rozbratała. Krótko mówiąc, tyle w jego upodobaniach jest rezerwy, w jego mniemaniach tyle umiarkowań i odcieni, tyle warunków poprawy i odmiany, że w ostatku trudno jest zgadnąć, czego on chce i co myśli. Dziwujmy się temu wypadkowi geniuszu republikańskiego. Nie znajduje się, we wszystkich dziełach ogłoszonych w Europie od lat dwudziestu, przez ludzi wszelakich stronnictw, obdarzonych talentem, wzoru, bojaźni, słabości i trwożenia sobą, któryby mógł zostać porównany z tym, jaki wystawują dzieła doktora Channinga.

Kiedy chce sądzić człowieka, Miltona lub Bonapartego naprzykład, męztwo go odstępuje. W obliczu tych olbrzymów, przychodzą mu pod pióro same tylko miejsca pospolite; rzekłbyś, iż cerkiel jego zatrzymuje się przed rozgłosem takich wziętości, i wy-

pada z ręki utrzymać go niezdolnéj. Myśli gotowe których używa, osłania, wyznać to potrzeba, draperyją świetną; lecz złémwszystkiém, cóż proszę po miejscach pospolitych, wyrażenia sposobem niezwykłym nadętych?

Poezyja, ta *dusz trucizniarka*, według dzieł doktora Channing'a jest tylko niewinném i lubém dziécięciem; zaprzecza on pokrewieństwa jéj z Szatanem, przyznając wyższe i czystsze pochodzenie; przywraca jéj należną dostojność: ale nie jestże to retorska raczéj robota, niż badanie szczére i analityczne filozofa? Zaliż poezyja nie idealizuje równie występku jak cnoty? zaliż nie jest równie łatwo moralność jak niemoralność poezyi utrzymywać? A kiedy doktorowi przyjdzie do głowy piorunować przeciwko zdobywców i ich tryumfóm, kiedy przenosi, nad ich laury skrwawione, zdobycze spokojne umysłu, nie zdajemyż się słyszeć poczciwego professora grammatyki zalecającego jéj rudimenta, wynoszącego stan swój nade wszystkie powołania ludzkie i szacującego się w ró-

wni ze wszystkimi świata bohatyrami. „Znałem, powiada Fielding, pewnego wybornego człowieka, który miał jednę tylko śmiészność, uważania bakałarza szkolnego za największą w świecie osobę, siebie zaś za największego z bakałarzy szkolnych. Dwa te wyobrażenia nie wyszłyby mu z głowy, gdyby nawet sam Alexander W. na czele całego swojego wojska usiłował mu je wydrzeć (*).

Nie mówimy, ażeby nie było w dziełach Channing'a stronic przedziwnych, pięknych deklamacyj miejsc wymownych; ale ta wymowa zdaje nam się zbytecznie utrzymaną, nadto wypracowaną i przysposobioną do wrażeń. Zanadto ciągle rozpoznasz tam deklamatora, człowieka uroczystego i pełnego powagi, który ma prawo bydź słuchanym od ludu z poszanowaniem, który nadaje ważność najmniejszemu swojemu słówku, i który nie rozwijając wielkiéj energii umysłowéj, korzysta z powołania jakiém się zatrudnia i z praw które to jemu nadaje, dla przybrania

(*) Parson Adams.

tonu przewagi najwyższéj i prawie pedantycznéj nadstawności.

Zpomiędzy wielkiéj liczby poetów albo wersyfikatorów, których Ameryka wydała, znajduje się jeden, który dla prostoty wdzięcznéj swoich natchnień, ich melancholij religijnéj tudzież ich wyborności, na przytoczenie zasługuje. William Cullen Bryant nie wydał dzieł wielkich, nie można mu nawet przyznać zalety oryginalności znamienitéj; głos jego jest słaby i melodyjny; ale razem czysty i nie przez naśladownictwo wydany.

Nie pytajmy się tego poety o wielkie i wspaniałe obrazy przyrodzenia zaatłantyckiego. Jest on bardziéj sentymentalny niż malowniczy. Wyrażenie uczuć jego melancholicznych, które widok lasów i jezior wydobywa, w wiérszach jego roskoszne echo znajduje: lecz chociażby przepędził życie swoje i w Europie, też same pienia wypłynęłyby z jego genijuszu: ma on czystszy smak od Kuper'a i od Irving'a, a wytworności wyrafinowanéj połączonéj z prostotą

wdzięczną dościga. Górność nie należy do jego dzierżawy: wdzięk jego wyłączny wynika ze słodyczy nieco smętnéj, z zadumanéj i czystéj tęsknoty: jednoczy on się z przedmiotami przyrodzonémi i z jestestwami stworzenia; kocha się w nich; a pobożność skromna łącząca się z tą czułością pełna jest wdzięku i patetyczności. Poeta chrześcijański i angielski, miejsc swojego urodzenia żadnego wyłącznego rysu nie przypomina: uroczystość słodka jego poezyi, z jego przekonania religijnego i z patryjotyzmu wypływa. Jeśli on postawi stopę swoję w puszczy, to dla oglądania tam ręki Stworzyciela wyrytéj na każdym przedmiocie: życie wewnętrzne świata fizycznego ukazuje się jemu i zachowuje się w jego wiérszach: powiéw świéży, balsamiczną wonią kwiatów przejęty, zdaje się aż do czytelnika dolatywać. Ale powtarzamy jeszcze że te piękności, ani do Ameryki, ani do Europy nie należą; wynikają one z duszy tkliwéj i melancholicznéj; nie są one tak miejscowe, jak poezyje Thompson'a i Burns'a dla Szkocyi.

Miejsce następne naprzykład jest nader, pod względem poezyi, znakomite:

OBRAZ ZIMY.

Wyjdźmy razem, śnieg w lody zmieniła ulewa,
Kryształowym owocem okryły się drzewa;
Luty ukośném słońcem zapłomienił gaje,
I dobrze znanych gęstwin rozpoznać nie daje:
W przysionek z dyamentu, śpiesznym wstąpmy krokiem,
Gdzie się wśród kolumn światło rozlało potokiem:
Pod stopami naszémi, ścięte skrzypią śrzony,
Powlekające barwę śrebrzystą zagony:
Dęby szklistym pancerzem otoczone stoją,
Rzekłbyś zastęp olbrzymów przyodzianych zbroją,
Tysiącem pereł każda gałązka jaśnieje,
Do których się Iryda różno-barwna śmieje.
W koło głównéj kolumny, śniegowe ciężary,
Ku ziemi rozłożyste nagięły konary:
Ich miąższe luki lśniącym obwiedzione lodem,
Swietne tworzą arkady pod króla drzew spodem.
Ach! któżby oglądając te cudne przemiany,
Nie mniemał, że do śrzodka ziemi jest porwany?
Do urocznego wieszczek wszechwładnych siedliska
Gdzie topaz się rodzący z dyjamentem błyska.
Pyszny pałac! tu ginie wzrok dziwem olśniały,
Poglądając na jasne filarów kryształy;
Na rzędy kolumn w różne skierowane strony,
Wśród się których labirynt lśni nie wybłądzony!

Pałac dziwny, bez stropu, bez ścian i bez cienia,
Okryty przez niezmierne niebieskie sklepienia;
Pałac którego przepych, chluba znamienita,
Znikną, jak tylko słońce jutrzejsze zaświta.

Uwielbiać tylko zostaje tę delikatność rysów i tę biegłość wytworną pęzla.

Niekiedy przypomnienie ludów indyjskich, przez postęp cywilizacyi zniszczonych, rzuca na Bryant'a pisma urok osobliwszy. Wymienić tu należy, te arcy-patetyczne dzieła: *Młoda Indyjanka*; *Indyjanin u grobu swoich przodków*; *Trup Dzikiego*; i *Pomniki Góry*. Jakoż rzeczywiście zawiéra coś w sobie nader dramatycznego i smutnego los tych rodów odwiecznych, wygnanych ze swych siedzib i przypartych do brzegów morz im nieznajomych, przez ich ziemi przywłaścicielów. Porównajmy szlachetność naturalną, energiją niepohamowaną, męztwo a częstokroć zdumiewającą rostropność, tego dziécięcia lasów, jego życie wystawione na przygody oraz niepodległe, jego odosobnienie się tak okazałe, wśród przepysznych pustyń; porównajmy, mówię to wszystko z wy-

trwałym przemysłem, długiemi cierpieniami, ciężką i uporczywą osadnika pracą; potém zastanowmy baczenie nad tym ostatnim, który słabszy, nie tak cnotliwy może, zazwyczaj nie tak odważny; ale przez wszechmogącą cywilizacyją wsparty, uprawia grunta, wznosi miasta, rozciąga sieci sztuk czarodziejskie: zważmy jak umiejętność i przemysł tryumfują z siły fizycznéj, tłumią i niszczą pokolenia na niéj się opierające, dzwigają życia domowego ołtarze, tworzą społeczne cnoty, zawiérają wielką człowieka z człowiekiem ugodę i wprowadzają na miejsce prostoty bytu dzikiego, powikłanie interesów, namiętności, tudzież pasma wyobrażeń za cywilizacyją następujących. Kogoż taki widok zdziwić nie potrafi, dwoistym sposobem? przejmujemy się naprzód zdumieniem na widok rodów piérwotnych, tak bohatyrskich i tak nieszczęśliwych, potém na widok cywilizacyi, któréj postępy, równie są niezbędne jak niezmierne. W tém się to właśnie zawiéra poezyja Stanów-Zjednoczonych, którą P. Kuper w znacznéj części odgadnął. P.

Bryant winien mu jest kilka rzewliwych elegij. *Trup Dzikiego* zdaje się tu na przytoczenie zasługiwać: nie jest to może dzieło imaginacyi arcy potężnéj; ale jest to, moralnéj, melancholicznéj i tkliwéj myśli, owoc.

Trup Dzikiego.

Oddajmy! ah! oddajmy jemu jego mogiłę! Zbierzmy jego szczątki! Złóżmy je lekko i uroczyście pod zielonością równiny! Człowiek myślący, jak wiecie, winien jest cześć ostatkom człowieka, cześć śmierci. Ta lepianka z gliny, w któréj tchnienie Bóztwa obrało dla siebie przybytek, świętą jest nazawsze.

Pod témi kościami biło serce wielkie; tam jaśniało bohatyrskie oko. Obraz najokazalszy Boga, *człowiek pierwotny, niczego nie zostawił po swoim bycie, prócz tych zwłok trudnych do rozpoznania. Niech one spoczywają aż dopóki wszelkie podobieństwo zatarte będzie, aż póki*

straszliwe zepsucie pieczęć palca bozkiego zagładzi!

Patrzcie na tego trupa! Nie znał on, za swego żywota, ani miast wielkich, ani sztuk je upiękniających. Prawica, która utworzyła nasz rodzaj, złożyła go z cząstek piérwiastkowych i ze świéżéj gliny, związki jego z przyrodzeniem były ścislejsze; jego sympatyja z niebem, ziemią i wodami, głębszą była i szczerszą a niżeli nasza. Zimno i upał nie wywierały nań wpływu tak morderczego, jak wywierają na nas. Wyzywał on z sobą w zapasy nawałnice, które nas drżeniem przenikają; gardził kataraktą poruczając się wrzącym bałwanóm.

Jakże on lubił te wody, te puszcze i te otaczające go skały! Jakże lubił to dzikie i dobroczynne przyrodzenie, które człowiekowi czerwonemu wszystkich swoich skarbów udzieliło, posiłku i odzieży! Konary

drzew starych dostarczały jemu pożywienia; niebo usiane gwiazdami wskazywało mu jego drogę; ziemia nawet, ziemia niema, ostrzegała go o zbliżeniu się nieprzyjaciela.

Szlachetne pokolenie! Już go nie masz. Zniknęło ze swojémi piérwotnémi lasami bez końca; a my na popiołach tych rodów, jeden na drugi zwalonych, pobudowaliśmy nasze pomieszkania. Dziedziny ich przywłaszczone są nam posłuszne; ziemia Indyjanów jest naszą ojczyzną; poniki ich gaszą nasze pragnienie; brozdy, zaorane na ich gruncie, wydają dla nas pożywne kłosy; cienie ich drzewa osłaniają naszych kochanków. Wydarliśmy im wszystko; niechże przynajmniéj ich mogiła dla nich pozostanie!

Wieki, poemat napisany w stylu *Child-Harolda* Lorda Bajrona, zawiéra w sobie jeden wyjątek znakomitszy; jest to jedyny, w całych dziełach Bryant'a, który się

nam amerykańską miejscowość wyjawiać zdaje:

Zieleniejąca się ziemia step, potoków rzecznych, i puszcz nieprzebytych; karmicielko niezmiernych źrzódeł; rodzico tych gór, które wierzchołków przystępnych dla nas, nie mają; odwieczna i głęboka noc która cię otaczała, rozproszyła sięż przecie? Jutrzeńka niespodziewana zaświtała dla ciebie od cywilizowanego zachodu. Niedawno jeszcze ruchoma kopuła lasów, jedyną była, którą wzrok, na twoich postrzegał przestworach. Tam podnosił wycia wilk srogi, tam bawoł przebiegał; daléj Indyjanin, z obnażonémi, bronzowéj barwy, członkami, wiosłem się w łodzi, po niezmierném jeziorze kierował; jego naszyjnik i jego czerwoną przepaskę odbijały promienie słoneczne, a czółno jego lekkie zmykało po wodzie, podobne do ptaka na powietrzu lecącego.

Ach! wtenczas to był raj zieloności, ziemia przerznięta ścieżkami niewyśledzonémi, która, nakształt przedmurza bez granic, niezmierność lasów zasłaniała. Doliny, wyniosłości, góry niebotyczne, wszystko znikało, pod tą zasłoną z liści, któréj nikt nie był jeszcze uchylił, gdzie nigdy promień jesienny nie przeniknął, dokąd sam się tylko dostawał uragan, kiedy, w swojém zaciekłém rozdąsaniu, walił stare puszczy olbrzymy, i pnie ich, odziane korą szarawą, poczerniałe wiekami, druzgotał. Te schronienia ponure (któżby temu wierzył?) miały także swoje roskosze; znajdowały się wśrzód tych liści uchrony, pełne powabu, pełne ujmującéj i wdzięcznéj piękności. Tam się roztaczały błękitne jezior wody, w których nurzającego się przemyślnego bobra widziano, w których, pragnienie swoje daniel dziki ugaszał, a tysiące posłusznych wioseł pędziło

po nich łodzie, roztrącając pianę odlatującą daleko. Tam powiew kołysał kukoruzę o srébrzystéj łodydze; siedziba indyjska wznosiła się w tém miejscu lubém, w miejscu pokoju niewinności, odosobnienia i wdzięku szczérego: a wszelakoż, tam to Indyjanin krępował swojego brańca; tam skazywał i poświęcał go na śmierć; tam żywcem go palił. Potém następowała zemsta mordercza, straszliwsza jeszcze od mordów samych; ta roskoszna osada, spalona od nieprzyjaciela, stała się tylko kupą obwalin krwią zbroczonych: dziécię u piersi, młoda matka, i sędziwy wojownik padali pod tomahawkiem (*). *Morze się płomieniste po dolinie toczyło, domy zburzone, drzewa potrzaskane, rozproszone kości; w to się zamieniła osada indyjska: nie widać już było dymu otaczają-*

(*) Topor wojenny dzikich Amerykanów.

cego swoim wieńcem mglistym lepiankę dzikich; nie widać łodzi na jeziorze, ani też wioseł poruszających wód bałwany. Milczenie, na dolinę pustą następowało; a zawiązek téj cywilizacyi, tak niedołężny jeszcze, znikał nazawsze.

Wędrowniku! spójrzyj teraz. Tam pływało niegdyś czółno dzikiego; tysiące żagli białych, wzdymanych i miotanych wiatrem, cisną się dzisiaj do téjże saméj zatoki; zawiéra ona w sobie handel całego świata. Nowe pokolenie zaludnia te krainy; puszcza się wstecz cofa; cywilizacyja coraz postępuje daléj: miasta powstają; pleni się żniwo z każdéj strony. Zewsząd się nowe poniki i nowe rzeki odkrywają; pod zasłoną liści, przezroczyste ich wody zakryte przed wieki, nigdy jasnych niebios nie odbijały: te źrzódła dziewicze, napawają dzisiaj dziewicze osady. Codziennie ich się dziedzina powiększa;

cywilizacyja nachodzi i pochłania całą krainę, jak pożoga chyża drzewa jesienne pożera.

Tam spadają ostatnie łańcuchy ludzkości; genijusz naszego rodu rozwija się nakoniec swobodny i wolen przekazów. I któż zauzdać potrafi olbrzyma? kto nieuchodzonego rumaka zmusi do przyjęcia wędzidła i wodzów? Kto pohamować zdoła jego siłę i powściągnąć zapęd porywczego biegu?

Nikt w świecie. W głębi przyszłości, wzrost uniesienia tego, upatruję; kometa na przestwór ciśnięty nie tak pewną i nie tak jasną przebiega drogę. Owoż widoczny i cudotworczy, niepohamowany i olbrzymi ten postęp ludów; myśl błąka się, za jego zawodem nieograniczonym ścigając; a niezdolna przeniknąć daléj w przestrzeni, skupia się w sobie saméj pełna uniesienia i przestrachu.

Rzadko jest, ażeby poezyja Bryant'a, była nacechowana tym charakterem wyniosłości i mocy, jaka w tych ostatnich wiérszach przywiedzionych tutaj oddycha. Słowem jedném, próbki poetyczne Stanów-Zjednoczonych nie tak się odznaczają płodnością, nowością, oraz siłą imaginacyi, jako raczéj natchnieniem moralném patetyczném i tkliwém. Kiedy ten ląd rozległy okryją kwitnące grody, kiedy się walka człowieka z przyrodzeniem ukończy, wtenczas to, ujrzymy bez wątpliwości jak skrzydła swoje imaginacyja transatlantycka rozprzestrzeni. Skrępowana i słaba jeszcze dzisiaj naśladuje ona Europę biorąc sobie za wzór i prawidło uniesienie naszych poetów: a jakażkolwiek jest zasługa rozmaitych pisarzy, na których zwróciliśmy tutaj baczenie, nie dostawa im wszystkim jeszcze zalety najszacowniejszéj: oryginalności.

(*Edimburgh Magazine.*)

(Dla uczynienia zupełniejszym jeszcze, tego, po mistrzowsku skréślonego, obrazu literatury Stanów-Zjednoczonych Ameryki północnéj, przytaczamy tu nad to, część artykułu o téjże saméj rzeczy umieszczonego w jednym z dzienników francuzkich (*). Autor téj rozprawy (*Philarete Chasles*), założywszy na wstępie, że Amerykanie literatury, a mianowicie poezyi oryginalnéj, żadną miarą mieć dotąd nie mogli, tudzież poparłszy to założenie obrazem topograficznego, religijnego, politycznego i moralnego położenia Stanów-Zjednoczonych, tak daléj rzecz prowadzi:)

W tym rysie Ameryki okazuje się coś głęboko niesfornego ze wzruszeniem, zapałem i entuzyazmem koniecznym w sztukach pięknych. Przetoż w Ameryce północnéj dotąd jedna się tylko klassa ludzi utworzyła, klassa mówię przemysłowa. Dla wydobycia gruntu potrzebowała ona siły, że tak powiém surowéj, i przy niéj przewaga pozostała. Kiedy ramiona wypoczną, wtenczas się rzetelna umysłowa cywilizacyja utworzy: potrzeba naprzód wytrzebić te odwieczne puszcze i

(*) *Revue des deux mondes T. III. 15 Juillet 1825. p. 174 et sui.*

uprawić niezmierne stepy, które Amerykę
cywilizowaną otaczają. Tym czasem korona
i berło barkom się czyli przemysłowi ręko-
dzielnemu należą; a ponieważ na tym świecie
więcéj się rąk aniżeli głów znajduje, ponie-
waż istoty obdarzone energiją myślenia za-
wsze są w mniejszéj liczbie, względnie do ca-
łéj ludności, ponieważ siła fizyczna dla wszy-
stkich jest udzielona, siła zaś moralna dla
bardzo nie wielu; ta więc ostatnia cząstka
ludności czekać musi cierpliwie, aż na nię
koléj przypadnie. Pewny współczesny wę-
drownik, którego wielki zdrowy rozsądek i
bezstronność odznaczają (*), twierdzi, że wię-
ksza część światłych i uczonych ludzi w A-
meryce północnéj dobrowolnie się na ukrycie
i samotność skazuje; lękają się oni wziętości
powszechnéj i przed tyraniją większości stro-
nią. Izba reprezentantów, napełnia się pra-
wnikami, prokuratorami, kupczykami, ad-
wokatami, którzy dobrze umieją chodzić koło
interesów, a ortografii nie znają. „Rzecz to

(*) Tocqueville.

jest dziwna, dodaje P. Tocqueville, w kraju, w którym wychowanie jest popularne i powszechne.“ Tak więc wyższa umysłowa zdolność, usunięta jest, w Ameryce północnéj, od kierowania sprawami publicznémi; a jéj miejsce zdrowy praktyczny rozsądek zastępuje.

Literatura amerykańska musiała się od dziennikarstwa rozpocząć. Każdy dom pocztowy był redakcyjném biórem jakiegoś pisma perijodycznego, wydrukowanego na papiérze szarym albo żółtym, in 8. albo in 12. Ogłaszano tam wszystkie wiadomości interesujące: przedaże domów, przybycie okrętów, tryb postępowania sądowego, kupno niewolników; słowem, były to sobie niewielkie afisze. Dziennik Stanów-Zjednoczonych zawsze taką drogą postępował: stał się on organem stronnictw, skoro się tylko stronnictwa zjawiły, ale nigdy, po żadną siłę wewnętrzną, po żadną literacką wartość, nie sięgał. W czasie, kiedy to piszémy, dzienniki roją się w tym kraju: liczba ich pomnożeniem się jeszcze zagraża; ale sami nawet

obywatele zjednoczonych-stanów, nicość ich zupełną wyznają (*).

Franklin, którego imie nawet nie jest wzmiankowane, przez dzisiejszych autorów, piszących, o tak nazwanéj literaturze Zjednoczonych-Stanów (**), piérwszy jest, który pomiędzy kolonistami talent jakiś pisarski okazał. Uwagi przezeń drukowane w dzienniku jego brata, przybliżają się w końcu do stylu Addison'a i Goldsmith'a. Napróżnobyśmy tam szukali szczéroty tego Lafontena irlandzkiego i zdrowego purytańskiego rozsądku napełniającego *Spektatora*. *Humorystyka* Franklina więcéj uniżonności wiejszczyzny, oszczędności w sobie zawiéra: przebija się w niéj duch kupiecki i rękodzielniczy: mało mieści ona w sobie

---

(*) *Ob. North-American Review N. 60. — Athenaeum, Lettres on America etc. — Fenimore Cooper's Addresses to his fellow-citizens, etc.*

(**) Hamilton, Men Manners in America Blackwood's Mag. February 1825.

przymiotów literackich, lecz obraz prawie zupełny uczciwego przemysłowego życia wystawia; *Poczciwy Richard* odbył podróż na około świata.

Benijamin Franklin pisał także wiérsze, o których dla wiadomości tylko wzmiankujemy. Nie długo po jego śmierci zawód poetycki Stanów-Zjednoczonych otworzył się przez poemat bohatyrski, *Kolumbijada*, dzieło Joël'a Barlow'a. Przedmiot jego, odkrycie Nowego-Świata, nader był okazały. Nic pod słońcem, nad to poema, nie masz nudniejszego: mamże wyznać? nudność ta wspólna jest większéj części poematów amerykańskich. Przyczyną tego jest, że sam tylko zdrowy i czysty rozsądek, w kraju Franklina panuje.

Chcemyż wyszukiwać strony poetycznéj téj nowéj cywilizacyi? Okaże się nią właśnie to, co zdrowy rozsądek potępia i odrzuca, i co żadnego wyrażenia literackiego w sobie nie zamyka. Owoż, w lasach oddalonych i na rozległych stepach, biesiady chrześcijańskie: we śrzodku tłumnéj upojonéj gro-

mady widzieć się daje kapłan biesiadniczy, który się chrześcijaninem mianuje; na około tańce wyuzdane i szalone wycia, exaltacyja która starożytnych korybantów przypomina. Jest to genijusz purytańskiego natchnienia, doprowadzonego przez odosobnienie do wściekłości, wyexaltowanego przez życie dzikie, i długie od obrzędów religijnych, odwyknienie. Te wskrzeszenia wiary są straszliwe i okazałe; poźne praprawnuki Amerykanów dzisiejszych znajdą w nich poezyją. Owoż jeszcze, walka osadników z przyrodzeniem, myśliwców z hordami dzikich; srogość, okrucieństwo, zdziczałość, życie na morderstwie i grabieży spędzone: ot i cała poezyja amerykańska. Ameryka cywilizowana okiem ostatniéj wzgardy na nię spoziera.

W ogólności poezyja tego kraju w idylli się zamyka. Sposób ten pasterski ograniczony dosyć ze swojéj natury, w ciasniejszym się jeszcze skupia obrębie, kiedy sprzeczność pomiędzy pokoleniami wojowniczémi i wędrownémi, walka z przyrodzeniem dzikim i roskoszne marzenia pasterskie są z niéj

wywołane. Taką jest muza amerykańska. Trzeba się jéj mieć na pilném baczeniu, ażeby się czułą nie okazała! Strzedz się przygany duchownego kalwinisty! Nie przesadzać bynajmniéj: przystojność w niczém zbytku nie dopuszcza. Nie uwielbiaj nigdy przyrodzenia z przesadzonym zapałem, bobyś mógł w wielobóztwo popaśdź: przestawaj na gatunku idylli mieszczańskiéj; nie godzi ci się napełniać jéj rzewliwą tkliwością Salomona Gessnera. Lud kupiecki, tkliwość podobną za dziwactwoby poczytał. Nie mieszaj tam podobnież tego zapachu fajki, piwa, albo jabłeczniku, jakim Voss w Niemczech, Philips w Anglii, tak żartobliwie trefnie i ucieszznie idyllę przeniknęli, która pod ich piórem obraz Tenier'a wystawiła. W Ameryce surowie przestrzegają etykiety; kiedy się ktoś zbogaci, pnie się zaraz do dobrego tonu. Widzimy przeto, co tu przeszkód! co tu kajdan! co przymusu! Biédny poeto w Ameryce! śpiewaj jak możesz, w twojéj purytańskiéj klatce zamknięty, na poziomie twéj popularnéj równi, z podciętémi zgrabnie

skrzydłami, gniazda osłonionego zieloném liściem i błękitu niebios pozbawiony.

Z drugiéj strony niewiele jest złego bytu w Ameryce; poezyja cierpi w tym pomyślnym i błogim stanie. Nieszczęście tworzy wielkich poetów. W Ameryce, skoro tylko obywatel jest zniechęcony, skoro syn znajduje, że cząstka nań przypadająca jest szczupła, skoro się bankrut za swojém pięcio-krotném bankructwem wysili i zmorduje, dla tych wszystkich ludzi gotowy jest na pustyni ratunek; ratunek uczciwy, kolonizacyja nieustająca i snadna. Trzebią się lasy, wydobywają się grunta, pracuje się, i nikt przeciwko temu ani słowa zarzucić nie może. Społeczność nawet na tém ciągłém emigrowaniu członków szkodliwych opiéra swoje rachuby. Ależ za to nie ma ona lorda Bajrona, którego salonowe cierpienia drażniąc, wzrost mu i wygórowanie nadały, ani Crabb'a, który się w szkole głodu i rozlicznych cierpień przećwiczył; ani Ebenzer'a Elliot'a, który się w wiérszach wymownych na niedostatek chleba użalał; ani Lamartin'a

którego zawichrzenia cesarstwa i restauracyi, ku poezyi religijnéj zwróciły. Niestety! jakiż to *kielich goryczy* ci wszyscy poetowie spełnić musieli! ileż to udręczeń przyczyniło się do natchnienia ich pieniów. Ameryka północna jest nader szczęśliwą dzisiaj przez swoje czynne i pożyteczne rozwinienie energii fizycznéj, działającéj zewnętrznie, ażeby mogła cokolwiek przybliżającego się do poezyi wydadź.

Nikt, jak się spodziewam, nie będzie wymagał po mnie, ażebym sporządził i umieścił tu dostateczne spisanie poetów amerykańskich. Na czele zbioru, pod tytułem: *Selections from the American poets* (*), wydawca chcąc odeprzeć obwinienie rzucone na jego naród, przytacza wielką liczbę poetów urodzonych w *Baltimorze*, *Bostonie* i *Nowym-Yorku*, jako to: Hopkins, Dwight, Barlow, Humphreys, Trumbull, Freneau, Servelle, Liun, Lathrop, Prentiss, Boyd, Clifton, Isaac Story,

(*) In 8-vo. Dublin, Wakeman, 1834.

Allen Osborne, Spence, Braynard, etc., etc., słowem cały zastęp. I rzeczywiście, jest to niemało ludzi robiących wiérsze.

Największa ich część naśladuje przed wszystkiém, kobiétę, rymotworkę drugiego rzędu, *mistriss* Hemans, rymotworkę przyjemną, echo sentymentalności połączonéj z tęsknotą, znakomitą przez swoję czułość i czystość swych natchnień, lecz bardziéj moralną niż energiczną, bardziéj przyjemną niż twórczą. Wyrażenie bojaźliwe i słodkie P. Hemans zgadza się ze ścisłą moralnością Amerykanów północnych; dla tegoć to przyjęli oni ukwapliwie naśladowania, téj naśladowniczki. „Czytałem dzieła, trzech, czy cztérechset poetów amerykańskich, powiada redaktor dziennika amerykańskiego (*North-American Review*) a nie znalazłem więcéj nad trzech lub cztérech godnych szacunku. — *A host of them.... there are three or four good ones.... Aud three or four hundret poor ones.* „Pomiędzy témi *poor ones*, można oddzielić niektórych pisarzów odznaczających

się czystością wysłowienia, a czasami czułością nawet, jakiémi są: Wetmore, kupiec z *Nowego-Yorku* i z *Roscoe* swojego rodzinnego miasta; Samuel Woodworth, który pisał piosnki dla ludu; Jan Neal, adwokat z *Baltimory*; Jakób Nack, głuchoniemy; Edward Pinckney, oficer marynarki; Braynard, wydawca dziennika; Jerzy Wehington Doane, kapłan kościoła episkopalnego; H. W. Longfellow, professor; N. P. Willis, należący do poselstwa amerykańskiego w Paryżu; Sprague, biuralista bankierski w *Bostonie*; Jan Pierpont, predykator unitarski; *mistriss* Lydia Sigourney, druga *mistriss* Hemans; Rodman Drake, który się doświadczał w rodzaju poezyi fantastycznéj; Fitz-Green Halleck, arcy bogaty bankier, który się *humorystyką* i żywością odznacza.

Ale w ogole, wszyscy ci poetowie podobni są do siebie, i każdemu z nich zosobna na indywidualności zbywa. Czytając ich, przypomina się osoba komiczna w Szekspi-

rze, Dogberry świadek, który zawsze powiada, iż złe czynności na jakie patrzy: „*są znośne* (chce rzec nieznośne) i *całkowicie utrudzające.*“ Używając tedy wyrażenia tego poczciwca Dogberry, powiémy: że mierność tych wszystkich poetów zdaje się nam dosyć znośną ale jest całkowicie utrudzającą. Jest to monotonija niezmierna, omdlałość usypiająca, narkotyczna moralność.

Rzadko się dusza poety amerykańskiego podnosi, zapala, wzrusza i zewnątrz się rozlewa: szczérość wyrazu, potęga wzruszeń, głębokość natchnienia mało jemu są znane; widzisz go jak zmitrężony śpiéwa ze drżeniem; przeczuwa to że nie będzie słuchanym; pomysł jego nie przenika go bynajmniéj, zatrzymuje się częstokroć nad wyrazami; szczęśliwy że za pomocą ich utworzył nie wiedzieć jaką słodką melodyją, któréj pieszczota usypia raczéj niż upaja. Tego smutnego wycieńczenia prawdziwéj poezyi ja nie widzę innéj przyczyny jak fałszywe stanowisko poety. Utracił on dostojność kapłaństwa; dusić się zmuszony w swoim kramie: kupiec tylko jedynie

jest kapłanem społeczności w któréj on żyje. Sztukę poety poczytują tu za dzieciń對stwo, dziecinnie też ją wykonywa; kiedy się chce podnieść cokolwiek zdobywa się na moralność; biédnaż to moralność dziecinna! paplotanie cnotliwe wiérszami rymowémi i nierymowémi; rozprawianie skandowane, któreby można, za przedmiot, do nagrody, wszystkim, obojga pół-sferza, młodzieńcóm, naznaczyć; poezyja która się wyżéj nad Floryana i Berquin'a nie podnosi. Poeta amerykański zamyka się (co jest rzeczą chwalebną) w zacnych granicach przyzwoitości; postrzeżesz poczciwość w jego wersyfikacyi, prawość w miarach, ostateczne wykończenie strofy, dokładność i czystość w obrazach: zapewniwszy te wszystkie rzeczy, stara się ażeby niczego nie zaniedbał; opisanie ciągnie go ku sobie: nie ujrzysz tam żadnego wyboru w szczegółach: postępuje on naprzód, malując namiętności farbami wodnémi, ceniąc barwy nader zmysłowe i mocne, kopijując sprzęty i narzędzia gospodarskie, rówuie jak wojenne rynsztunki, lękając się za-

wsze zgorszyć swéj publiczności, a nietroszcząc się o to że nudzi ją, bynajmniéj.

Trzéj poetowie, Bryant, Percival i Dana, zasługują na wzmiankę. Uczucie moralne głębokie jest i jasne u Bryant'a; nie schodzi mu ani na czystości, ani na wyborze; lecz na zapale. W poezyi jego bynajmniej natchnienia czuć nie możemy. James G. Percival, przy większych nierównościach, więcéj podobno ma genijuszu. Rozwlekłość, natłoczenie obrazów, opieszałość w perijodach i niepoprawność każą wszystkie prawie dzieła jego. Nędza i opuszczenie, wycieńczyły podobno, w samym zarodku ten dowcip do wyższych może przeznaczeń zrodzony: a niektóre miejsca z pod pióra jego wyszłe, zwiastują, iżby się zdołał podnieść aż do namiętności, gdyby namiętność w Ameryce zakwitnąć mogła. Nakoniec Jerzy Dana, który używa całéj popularności, jakiéj tylko Amerykanie poecie swojemu udzielić mogą, ukształcił się zręcznie na wzór Wordsworth'a. Znajdziesz w Bryancie podobieństwo do Campbell'a,

u Percival'a naśladowanie Bajrona; u Dany, Wordsworth'a. Powiedziałbyś, że pisarz Stanów-Zjednoczonych nie może bydź sam sobą. Można także zarzucić ludziom tego kraju, mało ruchawości w ich imaginacyi. Największa ich część wyczerpuje swój przedmiot; gdy postępują, ich krok jest poważny, równy i jednostajny: ani się zatrzymać ani szybcéj pomknąć nie umieją.

Przywiedźmy tu niektóre ułamki z poezyi amerykańskiéj.

NAUKI MACIERZYŃSKIE.

— *Co to jest moja mamo?*

— *Synu mój, jest to skowronek! Zaledwo świtanie uśmiéchnie się na górze, on się wzbija ku niebu i puch swojego gniazdeczka opuszcza. Wzlatuje, a kropla rosy błyszczy się jeszcze na jego piórkach; wzlatuje, a hymn pociechy wydobywa się już z jego piersi; hymn miłości, który wyśpiewywa Stworzyciela. Niech, mój synu zawsze pienia twojego po-*

ranku, będą hymnem, Bogu dobroci poświęconym.

— Co to jest moja mamo?

— Synu mój, jest to gołębica! Czy słyszysz? głos jéj jest tkliwy, przytłumiony, żałośny, jak płacz wdowi. Oczekiwa ona powrotu swojego ulubionego, a jęczenie jéj ciągłe jest i nieprzerwane, jak szmer upływającéj wody. Synu mój bądź zawsze, podobnież jak ona, wierny twoim przyjaźniom, stateczny w twoich miłościach.

— Co to jest moja mamo?

— Synu mój, jest to orzeł! Dumny i ochoczy, szybuje ku niebiosóm. Pewny swojéj siły, potomek gór, przebija chmury nawalne i nie dba na płomieniste błyskawice. Potężne jego skrzydło walczy z wichrami; a ogniste jego oko śmiało wpatruje się w słońce. Wznosi się, wznosi się zawsze; lot jego jest prosty i szybki. O bogdajbyś zawsze, moje dziécię,

zawsze lot orli naśladowało: szybkie, śmiałe, potężne, niezmienne, wytrwałe na trudy, nieugięte!

Strofy te dosyć piękne, są P. Doana duchownego unitaryusza.

Poezyja ta domowa nie jest bez powabu; nie ma ona wyniosłości: podobna byłaby do natchnień pierwiastkowych muzy sławiańskiéj i litewskiéj, gdyby ta ostatnia, otwartą jak dziécię i prostą, jak pienie leśnego ptaszka nie była. Lubię ja pierwiastkową prostoduszność; pachołek kramny może bydź prostym, nieroszcząc sobie prawa do uwielbiania i hołdów. Roskosznie wdzięczną są rzeczą drobne ody litewskie, tak krótkie, tak melodyjne, tak powabne, które wynikają z tkliwego uczucia, wydobywają się z serca ojcowskiego, ze wzruszeń czułych dziéci i z przypomnień macierzyńskich. Żadne z wielkich uniesień życia cywilizowanego nie zmieniło jeszcze tego pierwotnego pasma skłonności ludzkich, téj szczéroty lubéj, która wypływa z żyżnego i dziewiczego jeszcze gruntu. Poezyja amerykańska przeciwnie,

do szczéroty przez jałowość się uciekła; jest to poezyja oszczędności i postu, poezyja pokutna. Inny poeta (*) *do dziécięcia utrudzonego igraszkami*, obraca wiérsze następne.

Naigrałeś się dosyć! i jużeś się zmordował! Cóżeś czynił w przeciągu dnia całego? Wszystkie jestestwa spełniły swoje przeznaczenie dziennie: ptaki umilkły; pszczółka już nie brzęczy; słońce zapada, ginąc po za wierzchołkami drzew, po za wierzchołkiem dzwonicy; gołąbek schronił się do swojéj kryjówki; gęste liścia tają gniazdeczko które osłoniły: owoż i zmierzchło: pacholę cóżeś z dnia twojego uczyniło.

Cóż powiész twojéj matce kiedy powrócisz do niéj? Co twój malutki głosek przyrzekł jéj w poranku, dotrzymałżeś tego? Przebaczałżeś urazy? kochałżeś bliźniego? Towarzysz twój

(*) N. P. Willis.

słyszałże od ciebie szczęśliwe i słodkie wyrazy? W lesie, nad brzegami strumieni, jakążeś zebrał naukę?

Z czasem nadejdzie wieczór, wieczór dnia wielkiego: poczujesz się znowu znużonym ale nie zbytkiem igraszek? Ciało się twoje nachyli, oczy zamykać się będą podobnież jak dzisiaj. Powiesz wtenczas: „Czemuż się te ciemności tak opieszale rozciągają? chciałbym, chciałbym zasnąć!" Dałby to Bóg, ażeby wtenczas czoło twoje czyste było podobnie jak dzisiaj, czyste od występku i sromoty! Jakiż będziesz miał do zdania rachunek z dnia twojego, z dnia mówię twego żywota? Jeżeli się dłoń twoja otwierała, jeżeli twe serce wylewało się na litość; jeżeli pokuta umartwiła twą duszę, a wymowne przyrodzenia głosy odkryły przed tobą święte jego tajemnice; jeżeli sympatyja twoja jednoczyła cię z tém co jest uniżone i co jest wyniosłe;—te przypomnienia,

dziécię, ukoją twoje trudy; te przypomnienia będą miały dla ciebie uroki; ujrzysz noc nadchodzącą, i nie zadrżysz; a spokojny równie jak dzisiaj uśniesz na łonie macierzyńskiém!
Przedmiot traktowany przez Percival'a, w następnym wyjątku, podawał się najpatetyczniejszemu wyrażeniu.

Małżonka opuszczona.

On nie powraca; księżyc pochylił się na niebie; czuwam zawsze; on nie powraca!

„*Ah! nie byłoć tak zawsze. Podczas, kiedy jego rozpusta upaja w mieście poblizkiém, zapomina, że ja tu płaczę, że płaczę gorzko. Kiedy powróci, głos jego będzie twardy i opryskliwy; będę płakała jeszcze, a moje niemowlę, które się przebudzi w kolebce, głosek swój słaby do mojego łkania przyłączy. Czuwać tam, nad tą kolebką, czuwać po macierzyńsku nad zamkniętémi powiekami*

swoich drobnych niewiniątek, jest to roskosz ostatnia mojego zrospaczonego serca.

„Miałam niegdyś małżonka; nie mam go teraz; gniew zawsze osiada oblicze jego; pije truciznę zgubnéj woli z ust niewiasty pozbawionéj obyczajów, jak pszczoła upajająca się trucizną w liściu laurowém ukrytą. Nie mogę wszelakoż jego nienawidzieć! Ah! gdzież się podziały te godziny, kiedy wzrok mój nie mógł się oderwać od niego! Tylem go kochała. — On mię także! Postęp spokojny godzin uścielał kwiatami drogę naszego życia. Niechaj powróci! niech się uśmiéchnie tylko; serce moje odmłodnieje i cała się ma czułość obudzi!

Wiérsze te są tkliwe; nie mogąc bydź lepszémi są dobre; lecz wpośrzód szczeroty która się podoba, daremniebyśmy szukali śladu, zapałem tchnącego genijuszu.

Ale przywiedźmy miejsce energiczniejsze;

maleńką powiastkę ułożoną strofami, a która, poza morzem, wielkiéj wziętości używa. *Rabuś*, ze wszystkich poematów amerykańskich, najenergiczniejszy i najoryginalniejszy, jest także jeszcze naśladowaniem. Wordsworth opiéwał *Starego Majtka* skaranego od niebios za to, iż zabił jednego z *albatrossów*; Crabb, pisząc swojego *Piotra Grimes*, przedstawił, iż tak rzekę anatomiją zupełną zgryzoty; Bajron rzucił interes na życie korsarza. Wszystkie te źrzódła interesu, fantastyczność Wordsworth'a, dzikie życie rozbojników morskich, żal wściekły w przyrodzeniu pospolitém, przyczyniły się do poematu Dony.

Rabuś.

Wyspa leży o mil dziesięć od brzegu. Jest to wyspa samotna otoczona skałami nasrożonémi; żadnego nie masz odgłosu na jéj wybrzeżu, żadnego na jéj opokach jałowych: usłyszysz tylko szum bałwanów, niekiedy krzyk ptaka morskiego, który

przerzynając śmiałém skrzydłem białą i wrzącą pianę, do swojego dzikiego gniazda powraca.

Tak mówi poeta.

Opowiada on następnie, że królem téj wyspy samotnéj jest Matyasz Lee, rabuś, morderca; człowiek krępy z szarémi oczyma, z gęstémi brwiami, z niskiém czołem, przemawiający, raz gwałtownie, popędliwie i srodze, to znowu z pieszczącą słodyczą. Ktokolwiek się przybliżył do wyspy, padał pod jego toporem; szalupy obciążone majtkami, nie trwożyły go bynajmniéj; wciągał ich do zasadzki, zabijał i łupił. Ten Matyasz Lee był człowiekiem straszliwym. Wyprawy jego, przysporzyły mu mienia; ale wiele wydatków: i pewnego dnia, nie wiadomo, przez jakie dziwactwo, zbrzydził sobie życie to awanturnicze i krwawe i uzbroił okręt, towarami naładowany. Zamiarem jego było zostać już uczciwym człowiekiem. Lecz morze było przeciwnego zdania, skołatało nader jego statek i w tym opłakanym stanie na brzegi hiszpańskie wyrzuciło:

„Ah! zawołał rabuś, rzemiosło uczciwego kapitana nie powodzi mi się! Okręt mój w takim jest stanie! Powróćmy do dawnych naszych zatrudnień, moje dzieci! naprawmy statek i ruszajmy daléj!“

Młoda Hiszpanka, bogata, która w czasie hiszpańskich wojen utraciła swojego męża, miała odpłynąć do Ameryki: Matyasz Lee przyjął ją na swój okręt, z jéj służalcami, kobiétami, słowem z tém wszystkiém, cokolwiek tylko fortunę jéj składało. Posłuchajmy samego poety:

Księżyc się podnosi, noc co raz postępuje; pod masztem stoi człowiek zamyślony, z założonémi na krzyż rękami: to Matyasz Lee! — Ty wiész jaka była twoja obietnica; wiész że ona jest młoda i nieszczęśliwa; że jest sama jedna na świecie, i że się powierzyła tobie!

Ty wiész jak przemawiała do ciebie z roskoszą i słuchała cię ze słodyczą: byłeś wtenczas szczęśli-

wszym i nie tak ponurym, kiedy głos jéj harmonijny obracał się do ciebie. Nieszczęśliwe dziécię! nie ma ona żadnego pocieszyciela! Nie Matyjaszu Lee! ty jéj nic złego nie uczynisz. Matyasz spogląda na morze spokojne i na niebo spokojne! Szemranie i złorzeczenie wydarło się z ust jego.—„Nie tego przynajmniéj wieczora! noc nader jest piękna!“

Matyasz zasypia; śni mu się o złocie i o dyjamentach; wyciąga ręce swoje łakome ku stosóm pereł świetnych; przebudza się wołając: „marzenie! Zadrżeć przed senną marą! Nie, nie, to niepodobna! Ta skrucha przelotna pozbawiłaż ciebie odwagi? Bądźże do licha mężem i nie trać zbogacenia się sposobności, dla tego że białogłowa jest smutną!

„Nużekrwawa prawico! tobie krwi potrzeba, weź ją!“—Piana się toczy po wierzchu odmętów; gwiazdy kryją się i mieszają; ocean płacze umar-

łych których pogrzebał w swém łonie. Dzieło zgubne ma się rozpocząć; Matyasz dał skinienie; osada okrętowa w milczeniu spuszcza się pod mosty; okręt się daléj pomyka, nakształt grobu, po morzu, bez żadnego szelestu: słychać jak z głębi jego wychodzą krzyki straszliwe, które się zdają ze środka ziemi wydobywać; słychać wrzaski piekielne: mordują we śnie podróżnych nieszczęśliwych.

Głosy konania, wycia, jęki, walka, ciosy zadane i wzięte, złorzeczenia, płacze, westchnienia, modlitwa przytłumiona, ostatnie chrypienie, szmer głuchy, wszystkie te odgłosy razem się z sobą mieszają. I lampa nocna oświeca boleśnie tych ludzi wybladłych, te policzki gorączką śmiertelną palone, te plamy krwawe, te czoła potem zlane, te dłonie gorące i zakrwawione. Lee przybywa, i patrzy.—„Ah! oni zasypiają

głęboko, a za przebudzeniem się służalca nie będą potrzebowali.“ Ale drzwi się otwierają; słychać wrzask przerażający; ukazuje się postać grobowa, długa szata biała, włosy rozczochrane, niewiasta; miota się, bieży. — Buchnęło w morzu! I już po wszystkiém. — Szumiące wały wiecież, coście w swojém kołysaniu się tryumfalném pochłonęły?

Potrzeba uprzątnąć trupy; wywlekają je z izby w któréj lampa pogasła. Pogrzeb ich odbędzie się bez modlitwy, grobowca nie otoczą przyjaciele. Fale łakome pożerają jedne po drugich ciała; pożerają je, przewalają się i szumią.

„Jeszcze jeden zawołał Lee. Pozostał rumak, piękny rumak wojenny, którego ta białogłowa na pokład nasz wprowadziła. Szukać konia; przywykł on ażeby go dosiadano; niechże sam dosiądzie morskich bałwanów i pohasać na nich zaprobuje!“

Wrzucono rumaka do morza. Co za rżenie! Nigdy wrzawa tak okropna z jednego na drugi koniec horyzontu nie przebiegła. Dźwiga on się do góry, spada w przepaści wodne; rży zawsze: a echo tego odgłosu aż do Matyasza dolatuje, raz przytłumione i głuche, to znowu wyraźne i jasne. Wśrzód wody pryzmatycznéj, zaczerwienione jego źrzenice iskrzą się jak źrzenice rozdąsanego szatana. Przestrach podobny jest do gniewu; spada, wylatuje w górę; pływa jeszcze, jeszcze nie skonał. Oh! długo jeszcze będziesz słuchał téj straszliwéj wrzawy.

„Daléjże, wszystko się skończyło. Złoto do nas należy. Zmyć mi tę plamę! A któż u djabła odtrąciłby od siebie fortunę kiedy się sama nastręcza? Dziéci, dziéci, podzielmy się zdobyczą. Podzielmy się po bratersku, noc była pomyślna!“

Spiewają, grają, chychoczą, piją;

wesoła ochota na okręcie przebywa. Nikt się nie modli, nikt nie zasypia. Djabeł sprawuje władzę królewską. Janek się odezwał: — „Matyasz nas oszukiwa!“ Matyasz mu ugodził w serce.—„To nie dobrze“ powiedział drugi. — Matyasz powtórny cios zadaje.

„Cóż tedy! rzekł do pozostałych, alboż się to wam nie podoba? każdego z nas scheda przez to podrośnie.“

Rabuś zapala okręt; a w towarzystwie swoich wspólników do wyspy rozbojniczéj przybywa.

W rok potém Matyasz Lee, którego ta zdobycz spanoszyła, i który na swojéj wyspie urąga się prawu, chce odnowić hulankę i obchodzić rocznicę téj nocy morderczéj. Piło się wiele; rozprawiało się o rumaku białym, o jego żegludze niebezpiecznéj, o jego rżeniu piekielném. Rabuś spił się do ostatka.

— *Ale tam, powiada poeta, na oceanie, cóż takiego postrzega?*

Zrazu iskierkę, gwiazdę, płomień jaskrawy który się powiększa i przybliża, i staje się wkrótce podobnym do księżyca zakrwawionego, na pustéj niebios przestrzeni, potém do komety rozczochranéj, wreszcie do okrętu w płomieniach. Okręt ten zapalony posuwa się, rzucając potoki jasności na przylądki, zatoki, góry i pagórki; zbliża się i zbliża się ciągle; a z łona pożaru wściekłego L e e *postrzega wysuwającą się głowę, głowę białego rumaka, wkrótce koń się cały ukazuje, który się na brzeg wydobywa i przybliża. Z jego przezroczystych boków grobowa światłość wynika. Zarzy się on, lecąc w zawody aż ku drzwiom* M a t y a s z a L e e; *tož samo się, co dawniéj, rżenie okropne rozlega: oblicze* M a t y a s z a *pobladło, szklanica wypadła z rąk jego, usta jego stały się niewzruszone i blade.*

„Nie mogę tu pozostać, zawołał. Po-

trzeba, ażebym jechał; czuję to że potrzeba! Rumak jest przede drzwiami; czy słyszycie go, jak mię wzywa?

Poeta, który tu porzuciwszy nagle naśladowanie Wordsworth'a i Bajrona, przywiązuje się do Bürger'a, maluje bardzo doskonale bieg płomienistego rnmaka, unoszącego Matyasza: widmo to konia zatrzymuje się wreszcie na skale i dopuszcza rabusiowi przypatrzyć się okiem przerażoném pożodze okrętu. Potém końska ta mara niknie; szaleństwo głowę mordercy obejmuje, który niegdyś wszechwładny na wyspie, staje się igraszką dziéci, i pod brzemieniem zgryzot umiéra.

Widzimy, co jest zmuszonego, nadzwyczajnego i pospolitego w przedmiocie tego poematu; i wiele to pomysłów obcych Dona był przymuszony przywłaszczyć sobie. Jest to ucieczka Lenory, jest to rumak umarły *rączo zmykający;* — jest to zemsta niebios i wcielona zgryzota żeglarza. Nie wiedzieć jaka potęga melo-dramatyczna i z saméj tylko

dekoracyi złożona, górę bierze nad głębokością tudzież nad wdziękiem szczegółów; a czytelnik, jakożkolwiek byłby zdumionym, nie doświadcza tego wewnętrznego drgania, które, że to jest poemat, zwiastuje.

Tak więc Amerykanie, aż dotąd podobni byli klassykom lichym, pomiędzy nami; kształcili oni kopije z kopij. Kiedy poezyja lorda Bajrona powszechne podziwienie zrodziła, energiczna klątwa wiérszy jego tłum naśladowców w Stanach-Zjednoczonych znalazła. Po Walter-Skocie, stu romansistów, pozbawionych kolorytu nastąpiło. Jak ci retorowie szkolni, którzy mniemają, że *Flores latinae locutionis* na małych Cyceronów ich wyprowadziły, a *Gradus ad Parnassum*, na jakichkolwiek Wirgiliuszów, Amerykanie wzięli wyrazy za pomysły a formy za uczucia; czczą jest ich literatura; czerpa ona bez przestanku ze źrzódeł europejskich, nie dosięgając ani doskonałości jaką naśladuje, ni też oryginalności genijuszu. U wszystkich tych poetów amerykańskich skowronek śpiéwa, albowiem Szekspir

kazał śpiéwać skowronkowi; na nieszczęście w Ameryce nie słychać pienia skowronka: są oni podobnież wymowni z powodu słowika, którego Ameryka nigdy nie słyszała. Jest to olbrzym w powiciu; ramiona jego są krzepkie; czerstwość fizyczna zdumiewająca; postępuje on i dźwiga bez trudności nieźmierny swój ciężar, i zaiste, ma tyle pojętności, ile jéj do działania fizycznego potrzeba. Ale jego umysł, krańców jeszcze materyjalnego życia nie prześcignął: okazał on serce w okolicznościach ważnych: dziécię mądre, oszczędne, porządne, przemyślne, odważne, którego czułość pod rachunkowémi księgami zasypia, imaginacyja ledwo się wykluła, poezyja zaś z trudnością coś wybęknie. Osobliwszeż to widowisko kraju, którego energija materyjalna tak jest natężona, myśl zaś w pieluchach niemowlęctwa, kraju, mówię, tak wielkiego i tak małego, tak potężnego i tak słabego razem.

Potém, powtarzam jeszcze, że Ameryka jednokształtnie jest szczęśliwą.

Z jakiéjże to cywilizacyi pomieszanéj, i

dziwacznej wyszli Kornel, Rasyn, Molier. Wzory oryginalne obfitowały wtenczas; w społeczności roiły się cudaki. Znajdowało się w obyczajach francuzkich nieco fanfaronady hiszpańskiéj, intrygańctwa włoskiego, tudzież buntowniczego ducha ligi i starożytnych Gallów. Oryginalności śmiészne tłumem się ze wszech stron waliły: pewien współ-czesnik zapełnił całe tomy anegdotami cudackiemi, których mu epoka ta dostarczyła. Grunt znajdował się przysposobiony dla Molier'a i Labruyer'a. Ameryka teraźniejsza, któréj się ludność tak nagle pomnaża, nic nam podobnego nie wystawia, do téj społeczności różno-barwnéj i pstrokatéj, dziwacznéj, pustéj, awanturniczéj, śmiejącéj się, rubasznéj, szalonéj, bohatyrskiéj. Wszystko tam jest urządzone według prawideł: małżeństwa zawiérane w wieku młodzieńczym trwają bez żadnych passyj i zaburzenia, aż do starości zgrzybiałéj: spekulacyje szczęśliwe lub niepomyślne, budują albo wywracają fortuny: czynność godna szacunku ciągnie za sobą wszystkich obywa-

teli: ruch polityczny, którego uniesienie rozlewa się w pamfletach i dziennikach, zajmuje umysły; nakoniec dobry stan finansów i przemysłu, który rozum pochwala, a który piérwszą tylko ledwo jest podstawą społeczności cywilizowanéj, przyszłość tego nowego świata przyspasabia.

Barwa blada i posępna rozlewa się na poezyją. Słodycz jéj jednostajna zawsze morduje ucho, jéj omdlałość pozbawiona życia usypia duszę, kołysząc ją myślami pospolitémi raczéj niż melancholicznémi. Każdy wiérsz zdaje się bydź osłabioném echem jakiejś poezyi obcéj; każdy pomysł, przypomnieniem, od staréj Europy, zasięgnioném. Z naśladowania do naśladowania, z pożyczanych do pożyczanych kawałków przechodząc, przebiegasz tym sposobem całą strof puszczę z wiérszy rymowych czy nierymowych ułożoną; a dusza twoja nie zatrzyma żadnego potężnego wrażenia, ani się też w głębi swojéj wzruszy bynajmniéj. Niekiedy, najszczęśliwszy z tych poetów, do rozmyślania religijnego pobudzi oraz do pobożnych

marzeń. Jest to jedynie uczucie rzetelne i lgnące do duszy, które ta poezyja w sobie zawiéra i ta cywilizacyja przypuszcza: ale ponieważ na to uczucie namiętności gorące nie nacierają, zbywa im na interesie dramatycznym: skoro tylko raz poeta podniósł duszę swoję do Boga, już więcéj nic do powiedzenia nie znajduje. Opiéwa on dostojność i potęgę Stworzyciela, potém zaś milczy. Ma on także hymny (takie o jakichem powiedział) na cześć domowego ogniska, lecz bez wielkiéj energii: nie lęka się on bowiem z żadnéj strony o to ognisko, ani od wojny obcéj, ani od rozruchów domowych, ani od głodu, ani od napaści dzikich. Synowie jego dla handlu i rolnictwa zostaną wychowani; nie zatrważa go bynajmniéj, względem nich żadne straszliwe zwodnictwo, jakich mnóstwo cywilizacyja nasza europejska wyradza. Jest on nader spokojnie szczęśliwym, nader łatwo moralnym, przez temperament i przyzwyczajenie; przeznaczenie jego z prostotą zbyt poważną postępuje. Nie ma nawet czasu stworzyć sobie tych boleści me-

lancholicznego marzenia, tych boleści rozkosznych, których my całą dotkliwość i całą zmysłowość pojmujemy, tych trosk wyrachowanych które są zbytkowémi smutkami. Stan społeczny w jakim żyje, obowiązuje go do najstateczniejszéj czynności; wszystko co go otacza, podziela tę czynność: drogi się kopią; robią się koleje żelazne; lasy się wycinają; woda w kanałach szumi; ziemia jest zorana i przewrócona kopaniem; rękodzieła się rodzą; machiny z łoskotem wydają swoje wyroby; miasta wydobywają się z ziemi, jak po deszczu grzyby; machiny parowe i żelazne drogi niszczą odległości rozmnażając grunta. Poezyjo! poezyjo! ty która żądasz cichości, drzew cienistych, błogiego uspokojenia! ty która kwitniesz zdala od roboty materyjalnéj i płodów surowych, ty nic nie masz do czynienia w takiéj krainie!

Ależ przynajmniéj, wymowa i historyja powinnyby się tam szczęśliwie udadź. Słowo jest potęgą niezmierną, dźwignią bez porównania, tam gdzie żaden interes publicznego roztrząsania nie uchodzi. Nigdyśmy się na

sessyjach senatu amerykańskiego nie znajdowali, nie możemy tedy sądzić inaczéj o téj republikańskiéj wymowie, jak tylko z doniesień wędrowników, którzy wszyscy, jednozgodnie zarzucają jéj rozwlekłość, długość a nawet pedantyzm (*).

Czytałem tylko jedno miejsce Daniel'a Webber'a, które na mnie, wysokiéj wymowy wrażenie, sprawiło. „Na zgromadzeniach publicznych Stanów-Zjednoczonych, powiada Hamilton, zdaje się, że mówić długo, jest to mówić pięknie.“

Historyja, mająca wielkie do skréślenia czyny, mogłaby w Ameryce pewnego stopnia wygórowania doścignąć. Duch dokładności handlarskiéj paraliżem ją ugodził. Dziejopis amerykański chce wszystko powiedzieć, wszystkiego dowieśdź: przynosi on wszystkie

(*) Nie wspominając Pani Trollope, któréj stronność jest oczywista, można się w téj mierze zaradzić Bisil'a Hall'a, Hamilton'a, Arwensted'a. *Backwoodsman in America*, a nawet samychże autorów dzienników amerykańskich, którzy nie oszczędzają bynajmniéj swoich współziomków.

swoje dokumenta, wszystkie swe powagi przytacza. Rzekłbyś, że oglądasz notaryusza spisującego rękopisma i układającego ich katalog. Pod przemagającym zwyczajów handlowych wpływem, historyja ta zbliża się do poczciwości szczegółów, w kramach i magazynach towarów, zaprowadzonéj: jest to gatunek surowości faryzaicznéj, żadnego pokrewieństwa z genijuszem nie mającéj. Bancroft, w swojéj historyi Stanów-Zjednoczonych, któréj tom jeden tylko dotąd jeszcze wyszedł; Jared Sparks, w swoich żywotach, dowiedli téj niezdolności ześrzodkowania, tego powszechnego braku widoków ogólnych, pomysłów filozoficznych, téj niezdatności talentu graficznego, które z roczników ludzkich, coś oschłego, jałowego, rozwlekłego i arcy niepożytecznego czynią. Sparks pisze z jasnością, badania jego są rozległe i sumienne. Bankroft ma pretensyje wynioślejsze, które, obszerna jego erudycyja i skrzętność pilna przewodnicząca jego badaniom, usprawiedliwiają. Ale nic tam nie postępuje, nic się w jedno nie kupi, nic

się barwami właściwémi nie przyodziewa; nie masz ani ruchu ani siły żadnéj, najmniejszéj śmiałości w wykonaniu, a w przedsięwzięciu obszerniejszego zamysłu; zawsze widać rękę niewprawną, niepewną i drżącą; formę nikczemną, miękką, rozwlekłą; zawsze dokumenta tylko same dla historyi, ale właściwéj historyi nie masz bynajmniéj.

Trzéj pisarze, Washington Jrving, Fenimore Cooper i Chaning przebyli morze Atlantyckie i znani są w Europie: Dwaj z nich, w Anglii i Francyi popularności nabyli. Dłużéjbym się zatrzymał nad témi wziętościami które do nas należą, gdyby względem ich opinija publiczna oddawna już nie była ustaloną. Byłoby niesprawiedliwością nie przyłączyć do nich Jonathan'a Edwards'a metafizyka szkoły szkockiéj.

W oczach Europy wszakże dwaj tylko są reprezentanci umysłowi Stanów-Zjednoczonych: Irving i Kuper. Pomiędzy Anglikami, na szacunek zasługują, jeden albo dwaj jeszcze romansiści drugiego rzędu Karol Brockden Brown, autor Carwin'a

i Wieland'a, pisarz dosyć energiczny, który naśladuje anatomiją sentymentalną i skoncentrowaną dzielność Godwin'a; tudzież miss Sedgwicke, autorka romansu pod tytułem *Hope Leslie*.

Rzeczą jest niezaprzeczoną, że powodzenie Walter-Skott'a talent w Kuperze obudziło. Sam on jeden, zaszczyt mu ten przyznać należy, umiał uchwycić stronę interesującą życia amerykańskiego. Jako morski oficer, przedziwnie zapasy człowieka z oceanem wystawił; pokazał okręt jako jestestwo żywe, z przyrodzeniem, nawałnicami i nieprzyjacielem walczące. Zapuścił się do piérwiastkowych lasów: odmalował, jeżeli nie z prawdą zupełną i dostateczną, to przynajmniéj z męzką i uderzającą energiją, rozwijanie się charakterów ludzkich w samotności. Co do społeczności cywilizowanéj, téj mu się nigdy nie udało, — bez usterku zupełnego i szkodliwego dla sławy autorskiéj opisać.

Hollandyja i Szkocyja, przyczyniły się do utworzenia charakteru amerykańskiego:

zamiłowanie domowego rządu, tudzież cnoty rodzinne, równie oba te kraje znamionują. Przetoż na kartkach Washington'a Irving'a, nade wszystko zaś, w małym romansie Paulding'a pod tytułem *Kominek Hollendra*, znajdujemy żywe i dzielne uczucie tych roskoszy wewnętrznych, tego spokojnego szczęścia, tego bytu ustronnego, zacisznego i poświęconego rozmyślaniu. Purytanizm z całą swoją surowością biblijną, uczucie to życia domowego rozwijał; i w kantonach, w których rolnictwo panuje dotąd jeszcze, w prowincyjach których nie zajechał handel, znajdujemy tysiące szczątków życia patryarchalnego. Irving, w niektórych swoich próbkach wystawił je szczęśliwie. Ale rzecz osobliwsza! nie ci to pisarze prawdziwémi są wpół-cywilizacyi amerykańskiéj organami: Audubon, w przepyszném dziele swojém o ptakach, Chateaubriand; Campbelle w swoim przedziwnym poemacie (*Gertrude of Wyoming*), lepiéj podobno dali poznać Europie piękność, nowość, osobliwość szczególniejszą przyrodzenia trans-

atlantyckiego, ogrom jego kolosalny, te gminy ptaków i źwierząt nieznane, niżeli Irving'owie, Kuper'owie i Paulding'i.

Najwymowniejszym pisarzem amerykańskim jest Audubon któregom wymienił. Krytycy Stanów-Zjednoczonych mieszczą go w rzędzie naturalistów, ale to nie dosyć. Jest to przedziwny kolorysta w stylu: mowca sztuczny, który przez ciąg sześciu posiedzeń usypia szlachetnie cierpliwość prawodawców i zmusza ich do słuchania, jako wiernych swojemu mandatowi, ułamków złéj łaciny, z któremi się w nieskończonéj liczbie *hypotezy* i *katachrezy* mieszają; człowiek ten za Demostenesa uchodzi. Audubon, który na poście i bezsenności czas w puszczach przepędzał, upojony swoją nadzwyczajną i fanatyczną miłością ku przyrodzeniu trans-atlantyckiemu; Audubon, który wydał swoje wzruszenia, i opisał barwami tak świetnémi a żywszémi jeszcze niż Buffon obyczaje ptaków i źwierząt leśnych, nie jest nawet pomiędzy prozatorami wymieniony.

Do Washington'a Irving'a należy odbicie się boleśne, nakształt żałości, cywilizacyi europejskiéj; odbicie się blade i posępne, podobne do światła księżyca. Myśl wewnętrzna Washington'a Irving'a, myśl zaledwie oświadczona, stylowi jego nadaje tę słodycz i ten koloryt, które nie są bez wdzięku: szuka on natchnienia poetyckiego w przyszłości europejskiéj. Naśladuje formy Addison'a i Goldsmith'a, jak pisarz nowoczesny, formy łacińskie Cycerona i Wirgilijusza przedrzyźnia. Opieszały jest w swoim postępie, wyszczególnia wszystko z drobiazgową skrzętnością zwyczajem innych swojego kraju pisarzy.

Wada ta stała się zaletą Kuper'a. Sporządzając dokładny inwentarz okrętu i jego naporządzeń, chałupy osadnika i sprzętów jakie się w niéj znajdują, wigwamu człowieka dzikiego i jego przyozdobień, Kuper naucza nas wielu rzeczy nowych i z ciekawości saméj interes wyprowadza. Przełoż czytany jest zawsze z roskoszą. Ale skoro tylko przepłynie Ocean-Atlantycki i do Eu-

ropy się dostanie; jak tylko ta dokładność drobiazgowa zastosuje się do przedmiotów dobrze nam znanych, w scenach, których z historyi Wenetów i Niemców pożycza, malarz częstokroć przedziwny pustyń i piérwiastkowych osad, poniża się do równi z najmierniejszymi opowiadaczami.

Taką mi się, literatura Stanów-Zjednoczonych, po długiéj nauce, pisarzom jéj, poświęconéj, wydała. Daleki jestem od myśli poniżania téj narodowości literackiéj i dzielenia z Panią Trollope smutnéj chwały w poniżaniu ludu wielkiego, chociaż młodego jeszcze: Herkulesa w kolébce. Wyraziłem, jak powiadają Anglicy myśl moję *uczciwie*, *my honeste thoughet*. Niech drudzy o niéj sądzą. Według mnie czas literatury nie przyszedł jeszcze dla tego rozległego kraju. Tam umysł przebiega tenże sam poziom, który wszystkie stany ludzkie z sobą porównywa; ludzie obdarzeni wyższémi zdolnościami, chowają milczenie, albo gasną: wyższości umysłowe równie jak wyższości dostojeństw, giną. Ciekawyż to i ba-

jeczny widok, oglądać tę demokracyją Ameryki północnéj, bożyszcze niezmierne, zawsze na twarz, przed sobą samém upadłe i siebie tylko bez przestanku uwielbiające, niszczące mniejszość, przywalające wszelką oppozycyją, umysłową nawet, wywołującą wszelką myślenia wolność i żyjącą szczęśliwie! Dosyć ma ona teraz na swobodzie materyjalnéj i mechanicznéj. Wszystkie tam pojedyncze osoby wyobrażają jednę tylko potęgę, *pracę;* ona jest tylko niezbędnie potrzebna i samowładnie króluje. Społeczność amerykańska jest warstatem. Praca umysłowa jest drugiego rzędu i podwładna pracy ręcznéj. Stan ten społeczności wbrew jest przeciwny położeniu Europy, w śrzednim wieku. Wtenczas to panowanie spirytualizmu było przemagającém; sztuki materyjalne tyle tylko miały wartości, ile były symbolem myśli.

Wszystkie cywilizacyje wydają swoje płody, ktore nieskończoną są modyfikacyją ludzkości, na domiar niedoli, nigdy przez tęż ludzkość niepostrzeganą. Co do mnie, żebym szukał zabawy, tębym nad inne przeniósł.

Pokolenia umysłowe i moralne rodu naszego więcéj mają dla postrzegacza interesu, aniżeli gatunki źwierząt. Co za charakter może bydź wypadkiem społeczności handlowéj? Potrzeba zarobku: ztąd w duchu mało co na wylanie się z czułością i dowcipem pozostaje. Kupiec jeden straszliwie jest do wszystkich innych kupców podobny. Jest to człowiek pożyteczny i czcigodny, który, najdrożéj, jak tylko bydź może, przedaje, kupuje zaś ile możności najtaniéj, mało co naraża, daje posag swéj córce, urządza swoje interesa i umiéra spokojnie.

Ale społeczność amerykańska istnieje i nie ma poezyi oryginalnéj. Jest to literatura przez odbicie się powtórzona; podobne nieszczęście nigdy się jeszcze żadnemu ludowi nie przytrafiło.

Wszystkie cywilizowane europejskie narody, pomimo wpływy jakie na nie działały, dały początek, każdéj literaturze udzielnéj. My jesteśmy dziećmi Greków i Rzymian. Hiszpani i Anglicy odebrali wpływ arabski, gotycki, teutoński i saxoński. Wsze-

Iakož te ludy posiadają literacką czerstwość dosyć wybitną, dostatecznie mogącą się odróżnić, a która ciekawe zrodziła wypadki. Co się tycze Stanów - Zjednoczonych, nic w nich podobnego nie znajdziesz. Związek amerykański posiada piękne miasta, wspaniałe porty, handel kwitnący, przedziwne okręty, ale żadnéj literatury.

Niejeden może nam powiedzieć, że się wybornie bez literatury można obejśdź, jeżeli jéj gdzie nie masz i powinszować Stanóm-Zjednoczonym tego szczęścia: ale my się odwołujem do umysłów rozważnych po rozwiązanie tego zagadnienia; ażali społeczność, nie będąca w stanie mieć swojéj literatury, jest społecznością wzorową? Przez literaturę zaś, jak to każdy miarkować może, nie rozumiem ja fabryki mniéj lub więcéj czynnéj romansów, pamiętników, dramatów, elegij, ale wyrażenie czegoś więcéj; obraz stanu umysłowego; słowem pieczęć narodową.

Stany-Zjednoczone, które nie mają żadnéj literatury, należąż do wielkich życia towarzyskiego warunków? Zaiste nie można dzi-

siaj zaprzeczyć, że duch rachuby, interesów i szykany znużył nas do szczętu: potrzeba nam tego, czego nam nigdy Stany-Zjednoczone nie dostarczyły, potrzeba mówię poezyi żyjącéj, prawdziwéj, któraby odnowiła w nas dusze i zachęciła nas do wiary godnéj człowieka. Rzeczy materyjalne, do istotnego użycia przydatne, zdają się same jedynie obudzać namiętność społeczności bez Boga: ale bliżéj w rzecz tę wniknąwszy, przekonywamy się prędko, że to nam nie wystarcza. Dusza także, podobnie jak czułość fizyczna zaspokojenia potrzebuje. Jeżeli to jest prawda, że mamy z przyrodzenia tę potrzebę, na cóż się nam społeczność amerykańska przydadź może?

Alboż to sztuki nie są nam równie jak chleb potrzebne? A cóż poczną sztuki ze społecznością bez uniesień moralnych, ze społecznością, gdzie najżywszym interesem będzie poprowadzenie nowego kanału, wywrócenie stronnictwa Jackson'a, albo też stronnictwa bankowego, ze społecznością, która dwa tylko interesa namiętnie pojmuje,

interesa nayjałowsze w świecie, zysku i fakcyj politycznych? Występki i cnoty, w społeczności podobnie złożonéj przeciwne są sztuk genijuszowi. Wielkie exystencyje handlowe, skupiając fortunę w pewnych ręku, tworząc że tak powiem, wielkie jeziora ze srébra, wśrzód społeczności, zdają się prowadzić za sobą potrzebę zbytku, a następnie potrzebny przepych społeczności stanowiące, ten przepych obyczajów, tę okazałość życia materijalnego, malarstwu, muzyce i poezyi przychylną. Ale te wielkie exystencyje, o których tu mówimy, znajdują się, w Ameryce, przed oblicznością wzrastającéj coraz demokracyi przeciwnéj z natury swojéj sztukom.

Daj mi społeczność namiętną, wielką wiarę, inne aniżeli materyjalne interesa, dusze łatwo i do głębi dające się poruszać. Daj mi starożytne podania, zabobony i przesądy gminne; z tych to rozżarzonych materijałów ujrzymy wynikającą poezyją, jak wylewającą się lawę z krateru wulkanicznego; poezyją wrzącą i świetną jaką jest hiszpańska,

poezyją miękką i roskoszną jak włoska. Dzielność namiętności sama tylko jedynie kwiat poezyi rozwija. Anglija nie była tylko wyłącznie krajem handlownym, ale krajem pychy awanturniczéj, krajem zaciekłych i głębokich namiętności. Wojny niesprawiedliwe, które Wielka-Brytanija utrzymywała, jéj zdobycze na Francyi, jéj z Hiszpaniją stosunki, jéj kuszenie się o panowanie nad morzem, przeszłość jéj bohatyrską, pełną wzruszeń zapewniły. Cywilizacyja ta pomiędzy stosami a rusztowaniami postępowała, przechodziła pola bojów okryte trupami. Biédny ród ludzki, takim się sposobem poezyi swojéj dokupuje; łzy to nasze i krew nasza, niwę jéj użyzniają: spada ona w postaci niebieskiéj rosy wtenczas tylko, kiedy tak bolesnémi wyziewami podsyconą zostanie. Ileż to zaciekłości teologicznych i wojennych potrzeba było, ażeby Europie poezyją jéj nadadź? Przez ileż to wojen wewnętrznych, przez ileż wywróconych tronów, przez ileż nieprawości znamienitych, dawna się Grecyja genijuszu swojego dokupiła!

Niestety! prawdę powiedzieć należy, bez namiętności nie masz sztuki; namiętność zaś jest przesadzoném rozwinieniem zdolności i władz człowieka; namiętność we wszystkiém przebiera miarkę i przez ten sam zbytek z występkiem się styka: wszyscy prawie ludzie wielcy, te pojętności namiętne razem i rozważne, winni byli cierpienia nie tak ludziom i społeczności która ich otaczała, jako raczéj własnéj osobistéj wadzie. Dant mściwym był aż do wściekłości; Tasso przez zbyteczną czułość słabym się stawał; delikatna podejrzliwość Rasyn'a, szyderstwo jego współczesnych wzbudzała; błędy zaś Jana Jakóba Róss'a, i chorowita jego pycha, która go do wyznania swoich omyłek skłoniła, nader powszechnie są znane, ażeby je przypominać tu potrzeba było. Potęga tych ludzi była ich słabością. Pioruny, które orły te roznosiły, pożerały dzielne ich skrzydła.

Ludy tymże samym przeznaczeniom ulegają; mierne i uczciwe, dójdą do pomyślności materyjalnéj, nigdy zaś do wygórowania myśli i piękności w sztuce. Wielkie cnoty

i wielkie występki, są dla narodów, genijuszu i sławy rękojmią; chwalebna poczciwość z wytrwałością połączona, przyczynia się do dobrego bytu, ale bynajmniéj do rozwinięcia genijuszu. Dar ten fatalny, genijusz, ta pochodnia zapalona u źrzódła namiętności, jakby u źrzódła żywicy sączącéj się z opoki, odmówiony był trybom życia najmędrszym i najporządniejszym. Gdybyś z Szekspir'a zrobił poczciwego w *Cheapside* kupca; gdybyś Kalderonowi odebrał jego fanatyzm katolicki; gdybyś Róssowi przywrócił pokój duszy i doskonałą słuszność w sądzeniu, zagasiłbyś płomień który ich zabijał; lecz razembyś i myśli ich oświecające utłumił. Gdybyś pozbawił Francyją jéj towarzyskości w błędy i omamienia płodnéj, jéj zalotności nieprzyjaznéj obyczajóm i wierności małżeńskiéj, jéj łatwości z jaką się wzrusza i przyjmuje wrażenia; gdybyś Hiszpanii odjął jéj rzymską pogardę życia ludzkiego, jéj dumną etykietę, jéj katolicyzm straszliwy i srogi, jéj punkt honoru; osuszyłbyś żywotne soki, tych dwóch w odmienny sposób

wielkich narodów. Cóż ząd zawiązać należy? — Oto, że namiętność i sztuka stykają się z sobą; — Że powinniśmy brać ludzkość w całém jéj rozwinieniu; na przesadę zaś w jedném i drugiém szukać przewagi w moralności wyższéj, namiętnéj, religijnéj, potężnéj.

Nie twierdzę ja przeto, że cnota nie zgadza się z genijuszem. Nie zaiste; ludy i pojedyncze osoby nie nabędą genijuszu wchodząc w przymierze z występkiem: lecz pewna poczciwość kupiecka, pewna rachmistrzowska dokładność, pewna pobożność na formułach ugruntowana, pewna regularność mechaniczna, gaszą ducha sztuk, żadnéj korzyści dla rzetelnéj cnoty nie przynosząc. Poświęcenie samego siebie dla dobra innych, dzielność bohatyrska duszy, przeświadczenie wewnętrzne o jakiéj wielkiéj prawdzie, łączą się, przeciwnie, ze wszystkiémi usposobieniami genijuszu. A te cnoty przez entuzyazm natchnione są najwątlejsze, najnamiętniejsze i najniebezpieczniejsze razem; natężają one wszystkie sprężyny duszy; stykają

się blizko ze zbytkiem i przesadzeniem, upajają myśli; a częstokroć przez zapędzenie się w nich i pychę wielkim występków wyrównywają. Jedno jest tylko poruszenie, które je powściągać i hamować zdoła; jedna tylko myśl panować może nad niémi: wyznać to potrzeba, iż pomimo cały wstręt, jaki się znajduje, w naszych czasach do wszystkich mocnych przeświadczeń, prawem tém, które zachowuje świętość naszych namiętności kierując ich dzielnym płomieniem, jest myśl religijna; w niéj to znalazł człowiek jedyną przewodniczkę wyrokującą nieodzownie, w sporze pomiędzy sztuką a cnotą.

Rozwijanie się ducha handlowego, powtarzam to, popycha nas ku stanowi podobnemu do położenia Ameryki północnéj. Jużeśmy się w kupców po części przedzierzgnęli. Naprożno *utilitariusze* probowali na podstawie finansowéj filozofiją i poezyją opierać. „Co poczniemy z magnatami i szlachtą, powiedział Burke, kiedy weźmiemy rachmistrzowskie bióro za ołtarz, a za bibliją Barem'a?“ Zyskiwać pieniądze, rzecz jest

arcy wyśmienita; chować je i oszczędzać, są to nieskończenie chwalebne zwyczaje. Nasza osobistość ma się bardzo dobrze przy takich, na swój własny rachunek, cnotach: pilnując się prawdy, dodadź jeszcze należy, że porządek, spokojność, pewność rzutu oka, tudzież przewidywanie potrzebne w prowadzeniu interesów handlowych, pewnym pół-cnotóm sprzyjają: punktualność w interesach pieniężnych z uczuciem się honoru jednoczy; umiarkowanie w wydatkach przyzwyczaja wielu rzeczy nie potrzebować; a takie odmawianie samemu sobie zbawienną siłę przynosi. Zbytek, rospusta, łatwość obyczajów, lekkość i płochość w postępowaniu, zgubny w namiętnościach zapęd, nierostropność, niebaczność, wszystkie te występki nikną i zacierają się koniecznie pod wpływem życia kupieckiego. Ale zważmy dobrze, iż te korzyści przywiązane do ducha handlu są ujemne; hamuje on, ale nic nie wyradza; obcina zbujałe gałęzie, ale nie użyznia gruntu, obrywa kwiaty zbyteczne pod pozorem niebezpieczeństwa ich kolców, lecz niczego nie

zapładnia. Pod względem umysłowym i moralnym jest to nicestwo. Wszelka jego urodzajność jest materijalna. Pomnaża on kapitały, powiększa procenta, wycina lasy, prowadzi coraz nowe kanały i drogi, odkrywa kopalnie srébra i złota, wynajduje machiny, ludzi w machiny przeistacza, rozporządza ludnością jak liczbowémi cyframi, wymaga od ziemi tyle snopów zboża ile tylko ta wydadź zdoła, od rzek potężnéj siły poruszającéj. Przymioty umysłu i duszy przy takiém zdobywstwie i podbojach są przymiotami prawie ujemnémi; cierpliwość, wytrwałość, bystrość, wszystko to wyłącza uniesienie i zapał, poświęcenie się i skłanianie się dobrowolne za popędem umysłu. Niech mi kto połączy, jeżeli zdoła entuzyazm z duchem przemysłowym a zapał poetycki z żelaznémi kolejami! Skoro tylko położymy zysk za cel i zasadę, poświęcenie się, wielką nierostropnością zostanie. Zamiast siły, rozpościerającéj się wszędzie, genijuszu i sztuki ujrzymy ukwapliwe i łakome skupienie osobistego interesu, który zająwszy środkowe

stanowisko pociągnie ku sobie wszystkie roskosze materijalne, ażeby je przyswoić i dla siebie zachować. Genijusz i sztuka, przeciwnie są, mimo własną wolą magnetyczne; pomysły, roskosze, wzruszenia, wynikając z różnych punktów świata, stykają się z niémi dla nabrania nowéj dzielności, zwycięzkiego natężenia, ażeby potém urocznym blaskiem światła swojego, podbite umysły czarować mogły!

OELENSCHLAEGER.

Nazwisko przytrudne w wymawianiu, niemałą jest dla sławy przeszkodą; i miano piérwszego żyjącego w Danii poety, jednego z poetów najznamienitszych dzisiaj w Europie, byłoby również znaném i podobnież sławném we Francyi, jak jest w Niemczech, jeśliby się nie wydawało nieco barbarzyńskiém dla naszych uszu. Lecz trzeba się nakoniec oswoić z mniemaną ostrością imion własnych, jeżeli chcemy poznać piękności literatury obcych ludów. Imie Szekspir'a wydawało się również dziwném, zwłaszcza, gdy je tak prawie wymawiano jak się wyrażało na pismie. W nazwisku także Klop-

sztok'a nie ma nic melodyjnego; wypada więc zdecydować się i również przywyknąć do Oelenschleger'a.

A więc jest literatura w Danii? I czémże bydź może owa literatura duńska? Tak właśnie przed niewielą laty mówiono o Niemczech. Wówczas nasze wiadomości nie sięgały daléj za Ren; dla czegożby dopiéro Morze-Baltyckie miało dla nas stanowić granicę?

Tak jest, Duńczycy mają literaturę. Danija to wydała wtórego poetę komicznego w Europie. Holberg więcéj niżeli ktokolwiek bądź zbliżył się do Molier'a.

Obok tych dwóch imion jaśnieją jeszcze nazwiska trzech lub czterech innych poetów zupełnie oryginalnych i prawie całkiem nieznanych we Francyi.

Tyleż można powiedzieć i o Szwecyi. Nadto w Danii, w Szwecyi i w Norwegii, w całym tym obrębie zwanym Skandynawiją, jest niepoliczone mnóztwo śpiéwów ludu, ballad naiwnych, pięknych jak ballady szkockie, co posłużyły za natchnienie dla Walter-

Skott'a i wielce do nich podobnych, ułożonych przez wieśniaków z przyłączeniem stosownéj muzyki, które oni śpiéwają po swych dolinach, na górach, nad brzegami ich wielkich, w głuchéj ciszy osamotnionych jeziór.

I po za tém wszystkiém nakoniec ukazuje się starożytna poezyja skandynawska, zawierająca dawne pogańskie podania tego kraju, w języku piérwotnym, z którego wzięły początek teraźniejszy duński i szwedzki, jaki się zachował prawie czysty w kraju zapadłym, na krańcach świata, na téj wyspie utworzonéj z lawy i lodu, z zaspów śniegu i siarki, z kraterów i gór lodowatych, którą nazywają Islandyją.

Lecz my tylko tu mówimy o poetach duńskich teraźniejszych.

Ten, któremu poświęciliśmy niniejszy artykuł, czerpał ze źrzódeł starożytnych tych piérwiastkowych podań północy, szukał przedmiotów w dogmatach ponurych i melancholijnych religii Odina, i wierny natchnieniu szczęśliwie przejął się charakterem

często posępnie żałobnym, niekiedy rozrzewniającym, nawet wdzięcznym téj skandynawskiéj mitologii.

Ciekawą zapewne będzie dla czytelników mało obeznanych z duchem podobnych utworów, zmierzać śladem za nim w tym nowym dla nich świecie.

Powiedzmy słów kilka naprzód o samym rymotworcy.

Oelenschlaeger jest postawy piękněj i pełnéj wyrazu, oczu i włosów czarnych, koloru twarzy ciemnego z żywym rumieńcem; wszystko w zewnętrznéj jego postaci nosi piętno południowego rodaka. Zaledwo wierzyć można, widząc go, iż opiéwacza bogów i bohatyrów północy, masz przed swémi oczyma.

„Największą dla mnie jest niedogodnością," mówił mi pewnego razu w Kopenhadze, „iż pisać w języku duńskim, jest to pisać dla dwóchset osób."

I dla tego starał się rozprzestrzenić krąg swych czytelników. Sam przełożył na język niemiecki część dzieł swoich. Wiele z liczby

sztuk jego często są przedstawiane na teatrach niemieckich.

Mówiliśmy o przesądach narodowych w literaturze. Powiedziałem mu, że pogardzanie Francuzów, albo raczéj ich obojętna opieszałość, z każdym dniem się zmniejsza, że poczynamy poznawać Niemcy, iż przyjjdzie także koléj i na Kopenhagę. Czarne jego oczy zajaśniały i zabłysły uczuciem przedwczesnéj wdzięczności. „Zbyt będziemy szczęśliwi, rzekł do mnie, jeśli poczną się nami zajmować w téj pięknéj Francyi; własne nasze przesądy wkrótce upadną. Niechęć nasza jedynie pochodziła z przykrych uczuć zawiedzionéj nadziei.“

Piérwszém z tych dzieł, o których zamierzam dadź wyobrażenie, jest poema dramatyczne, piękne pod każdym względem i wielce nadzwyczajne, do którego przedmiot jest wzięty z dawnéj mitologii skandynawskiéj, *Smierć Baldera.*

Balder jest to bóg, najłagodniejszy, najmilszy z bogów, który jednak musi umrzeć, albowiem według téj mitologii i bogowie są

podlegli śmierci. Smutna i wojną tchnąca wyobraźnia owych ludów, wystawiała życie świata jako walkę dobrych potęg w obrazie bogów, ze złemi, których przedstawieniem były olbrzymy i potwory. Ostatecznym końcem téj walki miała bydź wielka katastrofa, wygasnienie bogów, przez którą bogowie, świat cały i wszystkie rzeczy, winny były zginąć w powszechnym pożarze.

Wszelako los bogów jest zapewniony, dopokąd żyć będzie najczystszy, najświetniejszy z synów Odina, dobry Balder. Cała natura, któréj byt związany jest z jego istnieniem, miłuje go i chciałaby go zbawić. Atoli przeznaczenie bierze górę i on upada. Taki jest przedmiot tego dramatu mitologicznego, którego jak łatwo wnosić można, niepodobna przedstawiać na teatrze.

Wysoka piękność zawiéra się w wyobrażeniu tego boga dobrego i czystego, będącego przedmiotem miłości nieba i ziemi, którego los zgubny skazał na zatracenie. Smierć jego nie tylko staje się rozczulającą z powodu smutku i żałoby świata, lecz jest

to złowieszcza klęska, zapowiadająca wszystkie nieszczęścia, jest to przesilenie losu bogów. Jeśli Balder zginie, własny ich koniec staje się nieuchronnie blizkim. Oelenschlaeger trafnie poścignął uczuciem wszystko, ile tylko przedmiot ten zawiérał w sobie rozrzewniającéj czułości i wzniosłéj melancholii. Piękne to dzieło odlane jest w najczystszych formach trágedyi starożytnéj; natchnienie pełne cichéj słodyczy i smutku wciąż je przenika. Dźwięki nieco przygłuche języka duńskiego, rozciągają na całość harmoniją mdławą i łagodną. Czytając je przejęty jesteś politowaniem, nie mającém w sobie nic rozdzierającego, ku tym istotom bozkiéj i śmiertelnéj natury, rządzącym światem, nad którémi przeznaczenie panuje. Zdaje się, że masz przeczucie pełne wielkości nastającego końca czasów, że przeniesiony w spokojne ustronia *Walhalli*, raju skandynawskiego, spostrzegasz zdala piérwsze cienie zmierzchu i wiecznéj nocy bogów.

Balder opowiada swéj matce Fridze sny go trwożące. W sennych marzeniach

widział on śmierć własną: młody bóg trapi się smętną myślą utraty życia; matka go uspakaja obiecując, iż inne bóztwa z nią się połączą, aby zalecić całéj naturze szczędzić Baldera. I rzeczywiście bóztwa tak uczyniły. Odin zaleca ogniowi i światłu, Aegir morzu swéj dziedzinie; piękna Freya, Wenera północy, powietrzu, nad którém panuje; sama Frigga, ziemi i wszystkiemu co się z niéj rodzi. To poprzysiężenie, jakiemu nic się oprzeć nie może, wraca spokojność jéj macierzyńskiemu sercu. Lecz w tém przychodzi jéj na myśl, iż zapomniała rzeczy z siebie błahéj, lichéj gałązki jemioły; to zapomnienie ją przeraża: „I jakże, rzekła, czyliż bogowie do tyla upadli, iżby życiu jednego z ich liczby mogła zagrażać mdła roślina, którą wiatr pomiata we wszystkie strony?“ Ona nie może temu wierzyć, i z zupełną ufnością oddaje się obietnicy, jaką inne istoty jéj uczyniły. Tymczasem Loki, potomek przeklętego plemienia olbrzymów, przypuszczony do rzędu bogów i przedstawiający istotę niedoskonałą w obojéj swéj

naturze, wahającą się między złem i dobrem; Loki dręczony tém niepewném położeniem, zmordowany zabawianiem i śmieszeniem swych panów, skłania ucho na niegodziwe podszepty swych braci piekła. On zamierza otwarcie wziąć ich stronę, postanawia całkiem jąć się złego. Największém, jakie wyrządzić może, jest śmierć Baldera. Nie tajno mu, iż Frigga przepomniała zapewnić się o nieszkodliwości jednéj z roślin, lecz nie wiadomo któréj. Dla jéj odkrycia Loki chwyta się djabelskiego śrzodka. On bierze na się postać młodéj dziewicy błagającéj Friggę, za swym chorym kochankiem. „Pewien mędrzec, rzecze w téj zmyślonéj postaci, poradził mi wziąć co jest najniewinniejszego na ziemi, co w nikim nie wzbudza bojaźni i oddadź to na spalenie w ofiarnym ogniu. Wówczas poruszona Frigga wskazuje poziomą roślinę, która jedna w naturze nie przyczyniała żadnéj obawy. „Spal ją, rzecze ona, i tym sposobem ostatnia niespokojność moja zniknie.“ Ona mu daje gałązkę i oddala się.

Natychmiast zaćmiło się słońce; czarne karły wychodzą z rozpadlin skał, aby ukuć ostrze zgubnego pocisku, pogrążają je w sercu nowo narodzonego dziécka i głoszą swą radość złowieszczym śpiéwem.

Mimo to jednak jeszcze pokój panuje w niebie: sam tylko Balder nie może zapomnieć smutnych swych przeczuć: zapewnieni bogowie przez wojenne igrzyska obchodzą koniec swych niespokojności; i aby się bardziéj jeszcze utwierdzić w przekonaniu o niemożności szkodzenia ocalonemu bogowi przez wszystkie stworzenia, uderzają go na przemian swą bronią. I w chorze pełnym szczytnéj poezyi ludzie zdala przypatrujący się temu uroczystemu obchodowi, zasłonieni gęstémi drzewy od zbyt rażących promieni jasności zgromadzenia bogów, tak opisują te igrzyska.

„Patrzcie, patrzcie, jak bogowie, pokryci stalą w szyszakach na głowach, potrząsając włóczniami z mieczem u pasa, zbliżają się w groźnéj postawie, z udanym gniewem, do spokojnego, dobrego Baldera. On z głową

obnażoną, włosami powiewnie spływającémi, stoi wpośrzód nich w swéj wdzięcznéj niewinności, trzymając w ręku gałązkę dębową, znak pokoju. On schyla głowę rumieniąc się, prawie jak młoda wstydliwa dziewica i z uśmiéchem oczekuje rozpoczęcia wojennego igrzyska, jakie ma przeświadczyć o jego potędze.

„Patrzcie, patrzcie, jak Odin na swym koniu ośmionogim, szybko pędzącym, z dzielnym swym mieczem w ręku rzuca się, i swym lskniącym się mieczem uderza w piersi spokojnego, dobrego Baldera. Lecz zbroja bynajmniéj się nie ugina i jak wprzód okrągło piersi jego pokrywa. Dopiéro Thor, bóg pioruna, przybywa na swym wozie, trzymając młot, z czołem podniesioném, w postawie dzielnéj i straszliwéj; on uderza boga, lecz młot ześlizga się po Balderze i on się jeszcze uśmiécha.

„Freya przejeżdża przed nim na swym złocistym wozie; piekne jéj włosy niecące żądze, spływają po ramionach. Śnieżną ręką potrząsa pękiem róż, uderza nim dziewicze

lice młodego boga i oddala się na swym wozie, śmiejąc się ze słabości swéj broni."

Tymczasem chór postrzega na stronie dwie osoby złéj wróżby, jakie zdają się nie podzielać powszechnéj radości. Jest to Loki i ślepy Hother, brat Baldera. „Dla czego nie należysz do uroczystéj zabawy, rzecze doń Loki? Czyli już nię kochasz swego brata? Nie chceszże mu jak inni wyrządzić czci i okazać, iż on jest wolen od niebezpieczeństwa, udając, iż go zamierzasz ranić?"

Smutny Hother widzi w tém zrazu tylko natrząsanie się, z jakiém zwykle szydził Loki. „Pytasz mię, rzecze doń, mnie biédnego ślepego, dla czego nie należę do zabawy, złośliwy Loki, jak gdybyś nie wiedział, iż grube ciemności zdawna mię oddzieliły od uciech i czynności odbywających się przy świetle słońca; nadto nie wiém nawet, gdzie jest mój brat i nie mam broni w ręku, jak inni bogowie. Postępują ze mną już jak z dziéckiem, już jak ze starcem od lat posiwiałym i słabym jak dziécię."

Natenczas Loki oddaje mu zgubny po-

cisk, zrobiony z gałęzi jemioły, zapomnianéj przez Friggę, stawi go tak, aby biegąc spotkał swego brata i w te go pełne ironii zachęca słowa: „Dalejże, puść się do biegu, mój miły Hother'ze, ślepy synu nocy, biegnij żwawo z grotem obróconym na przód, a dotkniesz nim twego brata. Oni się śmieją, bogowie, słyszysz-li? śmieją się w radości nieba; dalejże, dokonaj ich radości! Hother się uzbroił: nie ruszaj się z miejsca Balderze, aby on cię mógł dotknąć. To brat twój Balderze; on ci chce swą miłość okazać, hołd ci ten czyniąc. Dopiéro dotknij Hotherze, zadziw bogów, przerwij ich szydercze śmiechy, okaż swą zręczność!"

Chór ludzi Jak rozrzewniającą jest widzieć ślepego Hothera, posuwającego się z kruchym grotem; bowiem tylko przez miłość ku swemu bratu, ślepy bóg zapomina o katuszy udręczeń i wystawia się na głośne żarty bogów.

Wówczas Hother rzuca się na Baldera i przeszywa go. Balder upada. Bo-

gowie osłupieli w oniemieniu. Loki. wymyka się; Hother woła:

„Cóż więc! tknąłem go? Zkąd ta cichość? Czyliż grot przeleciał mimo Baldera? A więc przynajmniéj śmiejcie się! lecz wszystko w głuchém milczeniu! Zawsze się urągają ze ślepego. — Ty Balderze, mój dobry bracie, przemów, bowiem ty jeden tylko słodzisz udręczenia Hothera i przynosisz mu ulgę! — Powiedz, czyli mój grot słabo zaszeleścił koło ciebie, jak brzęk uprzykrzającéj się muchy, lub odbił się od twéj zbroi, jak ziarno gradu! Oh! odpowiedz. Czyliż hołd ślepego gniew w tobie wzbudził? On milczy! to dziwna!... Wszyscy milczą! wszyscy!... Zgromadzenie bogów w ponurém milczeniu, jak dawne groby starożytnych królów, jak pobojowisko krwią przesiękłe, po chwili bitwy.... Ah! o czary! jestem w wodzie, wśrzód potoku, wody podmywają me stopy... Odin, Frigga, ojcze, moja matko, odpowiedzcie, odpowiedzcie!“

Frigga. „Woda co stopy twe podmywa, jest to krew twego brata.“

Bez wątpienia, Oelenschlaeger w tém dziele umiał szczęśliwie korzystać z mitologii Eddy. Ciekawą jest, czynić nad tém postrzeżenia, jak poeta dziewiętnastego wieku, zmodyfikował podania siódmego lub ósmego. Zamiast fizyognomii surowéj, krwawéj, niekiedy grubéj poezyi piérwiastkowéj, miejscami widzieć się dają wyższe wyobrażenia, dowcipnie obmyślane śrzodki rozwinięcia przedmiotu. Jednakże Oelenschlaeger niezupełnie odstępuje od charakteru téj mitologii; lecz ją łagodzi, oczyszcza, zdobi, wydaje słabiéj, mimowolnie dogadzając delikatności swego wieku.

Przywiodę inny jeszcze przykład dla okazania sposobu, w jaki Oelenschlaeger wystawia przedmioty wzięte ze starożytnéj mitologii skandynawskiéj, gdzie te przemiany wyraźniéj się czuć dają. Jest to ustęp z jego poematu *Bogów północy*. Tło opowiadania jest także wzięte z Eddy. Znający oryginał mogą zarzucać Oelenschlaegerowi, iż zbyt starał się przykryć i ubarwić rodzinną ostrość i surowość. Szczęściem dla niego li-

czba takich czytelników nie jest wielką. Może innym podoba się wdzięk i poważna zalotność, z jaką on opisał miłostki boga Freyr i piękněj Gerdy.

Bożek Freyr z wysokości nadpowietrznych, postrzegł w kraju olbrzymów młodą dziewicę, któréj piękność zrodziła w nim gwałtowną miłość; posyła więc do niéj swego giermka Skirnera, aby ją skłonić na swą stronę. Opis to tego miłośnego poselstwa zamierzamy przywieśdź w tłumaczeniu.

Przez imaginacyją, jaką poczytać można za śmiałą, fantastyczną, dziwną, która nie jest jednak bez oryginalności i wydaje obrazy dosyć silnie działające, autor przypuszcza, iż giermek Skirner, wydoskonalony przez karłów w sztuce czarów, nauczył się od nich szczególniejszéj tajemnicy, zatrzymywania obrazów na wodzie, które się w niéj odbijały. Zdjął tym sposobem wizerunek bożka Freyr, schował go w jednym z tych złoconych rogów, które służyły za czaszę i hermetycznie zamknąwszy poniósł go z sobą wybierając się do kraju olbrzymów. Obacz-

my jak potrafił z tego zręcznie korzystać. Jest on sam jeden w pokoju pięknéj Gerdy, gdzie, jak powiedział, miał złożyć podarek przyniesiony przezeń od bożka Freyr.

..... „Nieopodal łoża stało alabastrowe naczynie oparte na nogach kunsztownie zrobionych, napełnione czystą wodą gór. Gerda młoda dziewica kwitnąca zdrowiem, miała zwyczaj przed udaniem się na spoczynek, umywać swe ręce, twarz i łono. Skirner śpiesznie chwycił swój róg złocony, wylał zeń co się w nim zawierało do wody, którą postrzegł i oddalił się z pokoju. Lecz Gerda, kiedy bożek pokrzepił swe siły wieczerzą, i gdy go słudzy odprowadzili do przeznaczonego, dlań dogodnego miejsca, aby tam noc przepędził, Gerda śpieszyła czém prędzéj ujrzeć, coby był za podarek przyniesiony z Walhalli i z miną szydzącą i dumną, jak czynią młode dziewice, zawołała: „Cóż to jest za podarek? dyjamenty, rubiny? Mam ich więcéj niżeli żądam; mogą one bydź rzadkie w nadpowietrznych przestrzeniach, lecz tu znajdują się w obfi-

tości w rozpadlinach skał.“ Potém nic nie postrzegając zaśmiała się raz drugi, lecz z wyraźném nieukontentowaniem i zawołała: „Takem i wnosiła!... Wy bogowie przechodzicie olbrzymów gdy o żart idzie. Jest to przywiléj, którego wam odmówić nie można!“ Natenczas jęła śpiesznie zdejmować z siebie szaty; odwiązała przepaskę, zarzuciła na ramiona płótno białe jak śnieg; i przez pół naga stała w milczeniu oświecona blaskiem dyjamentu iskrzącego się blizko naczynia; potém nachyliła się ku wodzie, aby nią odświeżyć rumiane swe lice. Wtém nagle przestraszona, postrzega w wodzie obraz boga Freyr i cofa się w przerażeniu, potém złożywszy ręce i przyciskając je mocno do piersi, jakby chcąc niemi zakryć swe łono, obleka się, rumieniąc się, w powiewne płótno. Wkrótce przestrach jéj zmienia się w podziwienie, albowiem pościga całą tajemnicę. Znowu się zbliża powolnym krokiem osłoniona aż pod szyję futrem, aby się przypatrzyć obrazowi. Lecz, kiedy tak Gerda rozgląda boga, który się do niéj miłośnie uśmié-

cha, ogień silny i miły, przenikający aż do kości ją przejmuje, albowiem bóg był piękny... Długi czas w myślach pogrążona, rozważała go w milczeniu, nie dostrzegając, iż łza z jéj powiek spadła na usta kochanka, Zdjęta gwałtowną żądzą, ona się uśmiécha, wydaje westchnienie: o Freyr! Schyla swe czoło ku téj cudownéj wodzie, oglądając się po za siebie czyli nie miała świadka, i gdy była pewną, iż jest jedna, przypada ku wodzie aby ucałować powabny obraz; lecz obraz znika na szérokich kręgach powierzchni wzburzonéj wody, któréj świéżość odwilża płonące wargi młodéj dziewicy, nie mogąc ust jéj ochłodzić. Niespokojna spogląda czyli obraz znikł już nazawsze, lecz kiedy w chwilę na ukołysanéj wodzie, znowu się ukazał bożek Freyr, ona się znowu oddała zajmującym ją myślom. Duma jéj znikła; stała się łagodną jak owca, spokojną jak gołąbek mile gruchający. Futro o długich włosach zsunęło się ze śnieżnych ramion, bowiem było ciepło do niezniesienia. Ona nabrała odwagi i rzekła rumieniąc się: „obraz

nie może widzieć, jest to woda, samo tylko odbicie się. Nie mogłabym zasnąć nie umywszy wprzód rąk i łona.“ Natenczas zrzuciła z siebie okrywające ją obsłonki i rękami nad śnieg bielszémi zaczerpnąwszy wody, zlała nią szyję, ręce, ramiona, łono i płonące szkarłatem jagody swego lica.“

Nie same tylko przedmioty brane z podań północy, zajmowały imaginacyją Oelenschlaegera. Przedsiębrał on wycieczki na wschód i południe; lecz zawsze widzieć się w nim daje ojczysty charakter, i tak *np.* w dramacie jego *Corregio*, bohatyr jest raczéj artystą niemieckim śrzednich wieków, oddanym melancholijnym marzeniom, niżeli malarzem włoskim, wesołym, pełnym zapału i jak Pani Staël powiada, w *pełnym biegu życia....*

Potrzeba brać dzieło za to, czém jest. Zasadną myślą dzieła Oelenschlaegera jest zamiar wyrazić duszę, imaginacyją i przeznaczenie artysty, tak jak sam wszystko to pojmował. Uważana za malowidło cierpień i chorobnych wzruszeń w czułości ludzi ge-

nijalnych, wszystkiego, co jest zmienném i niespokojném w ich charakterze, co drażliwość ich podnosi i trapi w okolicznościach życia zewnętrznego, co jest boleścią dojmującém w szczegółach ich bytu, sztuka Oelenschlaegera jest wielce uwagi godną. Należy tylko zapomnieć o miejscu sceny.

W mieścinie *Corregio*, żyje ubogi i odosobniony, poczciwy Antonio Allegri. Zrazu zajmuje się on malowaniem świętych przedmiotów. Żona służy mu za model w rysowaniu obrazów madonny; własnego dziécka rysy powtarza on w obrazach S. Jana. Religija, sztuka i uczucia domowego pożycia, męszające się w jego sercu, czyniłyby go zupełnie szczęśliwym, gdyby ubóztwo go nie trapiło, niespokojąc o los drogich mu osób, i gdyby w swym gospodarzu oberżyście Francesco, nie miał nieprzyjaciela, którego podła i nizka zawiść, bezprzestannie stara się zatruwać jego życie nikczemnémi przykrościami. Człowiek ten, którego całą zasługę stanowiło, iż był dobrym kucharzem i który nic więcéj nie ceni nad złoto, dąsa

się z gniewem, iż taki biédak jak sąsiad jego Antonio, któremu nieraz dawał obiad do poczekania, od czasu do czasu przyjmował u siebie panów, artystów, którzy nie raczyli wstąpić do niego. Liczne upokorzenia, jakich malarz był dlań niewinną przyczyną, powiększają tę nienawiść tak lichą i tak głęboko wkorzenioną.

Kiedy tak jest on celem prześladowań nędznika, nie poznają się na wartości wielkiego człowieka i ludzie możni obrażają jego uczucia w świecie. Pewien pan włoski, czyni mu najpochlebniejsze propozycyje; chce go ściągnąć do swego pałacu, zając go robotą, dadź mu dostateczny i wygodny sposób utrzymania się. Lecz zapoźno Allegri postrzega, iż ten mniemany dobroczyńca żądał tylko niesławy jego towarzyszki i własnéj jego hańby. Tym sposobem najpospolitsze prześladowania i najprzykrzejsze upokorzenia stopniami tyrają pełną namiętnych uniesień duszę i nużą chorobne usposobienie draźliwego i smutnego artysty. Lecz co go najmocniéj wstrząsa, jest to wątpliwość, nie-

pewność, chwilowe niedowierzanie własnemu talentowi. Nizka przebiegłość nikczemnego Francesco była przyczyną nieporozumienia między dwóma mężami, stworzonymi aby należycie siebie umieli oceniać, pomiędzy *Corregio* i *Michałem Aniołem*. Michał Anioł obrażony przez Allegrego, który go nie znał, rozgniewany za niektóre uchybienia w rysunku uniosł się i w zapamiętałości te wyrzekł piorunujące słowa: „Tyś bazgracz!“ I Allegri poznał w tym surowym sędzi wielkiego Bouonarotti, którego uważa za boga sztuki malarskiéj, za niemylną wyrocznią. A wiąc omylił się w wyborze swego powołania, nie miał żadnego talentu do malarstwa; on ubolewa, iż tyle lat stracił w próżném omamieniu, przysięga, iż tylko malować będzie naczynia do kwiatów, aby uczciwie pracować na utrzymanie się przy życiu i wyżywienie swéj familii... Jednakże nie ze wszystkiém może się przekonać, iżby był bazgraczem; zdaje się mu, iż jest coś w jego duszy i że nie raz udawało się mu to wyrazić. „Nie, powiada, nie mogę się zde-

cydować, muszę się raz jeszcze zobaczyć z surowym Bouonarotti. I natenczas jeśli on z zimną krwią powtórzy to, co kiedyś wyrzekł w gniewie, natenczas... nie będę malował jak tylko naczynia do kwiatów."

Nowe wzruszenia go czekają. Julio Romans, uczeń, przyjaciel Rafaela, młody w pełnym blasku chwały i uniesienia, nawiedza go także w jego odosobnieniu i podnosi go we własnych oczach podziwieniem zbliżającém się do apoteozy; bierze on na siebie przyprowadzić Michała Anioła, który odstępując od piérwszego wrażenia, szlachetnie odwołuje wyrok swéj żywości. *Correggio* znowu jedna się z sobą, znowu umié siebie oceniać i oddawać sprawiedliwość podziwieniu tych, którym się sam podziwia; lecz te przemiany, wstrząśnienia, nieprzerwany ciąg nieznaczących udręczeń, zmartwień, niespokojności, dokonały zużycia osłabionych jego piersi. Wszelako zbiéra on swe siły, aby się udadź do miasta dla otrzymania zapłaty za pewien obraz i przyniesienia jéj przed nocą swéj familii. Ujrzano go

powracającego, jak słaby, znużony od zmordowania upadał prawie pod ciężarem zapłaty, którą nieprzyjaciel jego przez złość nikczemną, odpowiadającą lichéj i zawziętéj jego nienawiści, kazał mu wydadź w drobnéj miedzianéj monecie (*); i mającego wieniec na głowie, którym nieznana ręka skronie jego ozdobiła podczas gdy zasypiał. W tém żona i dziéci przybywają; on rzuca swój ciężar pod ich nogi, kładzie się nad brzegiem wytryskującego źrzódła i umiéra, jakby przywalony życiem ziemskiém i uwieńczony nieśmiertelnością.

W tém wszystkiém, cośmy przywiedli, daliśmy czytelnikom naszym wyobrażenie o sposobie, w jaki poeta duński wykłada dawne baśnie religijne północy; dopiéro zamierzamy przytoczyć inne przykłady tegoż talentu, zastosowanego do innego rodzaju podań. Jeżeli Skandynawija ma swój olimp posępny i krwawy, jaką jest sama, dotąd

---

(*) Podanie zachowało tę niepodobną do wiary powiastkę o śmierci Corregio.

przeniknęliśmy w ślad za Oelenschlaegerem, aby widzieć śmierć dobrego Baldera i żałobę wszystkich bogów, ma także Skandynawija równie jak Grecyja swe familije skazane od przeznaczenia, imiona starożytnych bohatyrów unoszące się między baśnią a historiją, słowem inne legendy nie mniéj nadprzyrodzone, lecz jeszcze cudowniejsze, pamiątki pomięszane i poetyckie, jedne z czasów pogaństwa, inne z epoki kiedy religija chrześcijańska poczęła wyzwalać te posępne kraje z pod panowania dawnéj ich religii; niektóre nakoniec z czasów kiedy za odniesieniem przez tę wiarę tryumfu, uczucia rycerskie rozwinięte pod jéj wpływem, powoli złagodziły i prawie całkiem zniosły piérwiastkową surowość i ostrość barbarzyńskiego heroizmu.

Poeta, o którym mówimy, czerpał z tych rozmaitych źrzódeł podań mniéj lub więcéj historycznych; one mu dostarczyły przedmiotów do wielu tragedyj nie tak zupełnie idealnych, jaką jest śmierć Baldera, o któréj raczéj marzyć można w nadpowietrznych

przestrzeniach, niż przedstawiać na ziemi, lecz jakich scena tu się odbywa, w których opisywane działania zachodzą na naszym świecie, przy świetle naszego słońca; przeznaczonych do odegrywania, które rzeczywiście są przedstawiane na teatrach duńskich i niemieckich, a które przez to silniejszy w nas mogą obudzić interes dramatyczny i żywszą sympatiją, albowiem nic bardziéj nie porusza duszy ludzkiéj nad uczucia i przeznaczenie człowieka.

Zpomiędzy tych tragedyj wybieram trzy, z których każda odnosi się do jednéj ze trzech epok cywilizacyi skandynawskiéj, przez nas oznaczonych.

Do czasów piérwiastkowych weźmijmy tę, która nosi tytuł *Starkothera*; Starkother jest to w pewnym rodzaju Herkules, albo Achilles północy, nadzwyczajnéj siły i niewypowiedzianego męztwa, tak sławny i głośny w dawnych opowiadaniach skandynawskich, iż pamięć o nim miesza się do wspomnień o wszystkich znamienitych czynach jakie opisują. Jeśliby wierzyć można

Saxonowi grammatykowi, który te opisy zebrał i wyłożył w swym barbarzyńskim i wyszukanym języku łacińskim z trzynastego wieku, więcéj dwóchset lat życia wypadałoby naznaczyć Starkotherowi. Lecz nie należy zapominać, iż Saxon zbiérał i spisywał nie porównywając rozmaite legendy, którym początek dała wielka sława i wziętość bohatyra. Nie wiedział on, iż tak się zwykle dzieje w epokach bohatyrskich, iż gdy natenczas ludy składają na jednę osobę, gromadzą koło jednego nazwiska wszystko, co pamięć ich zatrzymała z najświetniejszych pamiątek wszystkich wieków, tak prawie jak one w nieporządku wieszają na poświęconym dębie broń i łupy wydarte swym nieprzyjaciołom przez wiele pokoleń, przeciążając gałęzie jego trofeami z następstwem czasów od wieku do wieku gromadzącémi się.

Niegdyś w burzliwéj swéj młodości, uniesiony gniewem, z szatańskich pokus złych duchów, Starkother zabił swego króla. Od tego czasu stał się on najsławniejszym z bohatyrów; błąkał się po świecie pomię-

dzy taborami Hunnów, przez stepy i pustynie Rossyi, w pałacach carogrodzkich, i wszędzie czyny nadzwyczajnego męztwa pozyskiwały mu podziwienie ludów. Lecz nie za tém się on upędzał, chciał krwią odpokutować za krew, pragnął żywot swój położyć za swego króla; bogowie odmówili mu śmierci za którą się uganiał i skarali go własną jego chwałą. Sroższe jeszcze grozi mu nieszczęście, jeżeli on nie polegnie od miecza jakiegokolwiek wojownika, sława ta nie otworzy mu wrót *Walhalli*, przeznaczonéj podług wiary skandynawskiéj dla tych, którzy giną w walce. Pod ciężarem tego świetnego przeznaczenia zemstę zapowiadającego, wraca on do ojczyzny po trzydziestu leciech. Wnet po swym powrócie rozpoczyna on rolę naprawcy i mściciela, albowiem względem innych jest on jakby nieubłaganym wykonawcą téj fatalności, która go samego przywala. Uwiadamia słabego króla Duńskiego, iż go zdradza małżonka dla dzikiego Agantyra. Tego zaś Agantyra opanowało szaleństwo nieukrócone i tajemnicze,

jakiś święty zapęd; on przybywa ze swymi ośmią braci, równie jak on okrutnymi, wyzwać na bój Starkothera, który przyjmuje wyzwanie. Lecz i bez jego przyłożenia się zginie Agantyr, bowiem ma on niezbłaganego nieprzyjaciela we własném przeznaczeniu, winien jest uledz w walce z tém przeznaczeniem i sobie śmierć zadadź.

Przed wystąpieniem do walki, Agantyr dostaje się do okropnéj jaskini, gdzie są popioły jego ojca Halfdana, gdzie dręczony szaleństwem słyszy słowa wyroczni doń mówiącéj: „mieczem Halfdana wydrzesz życie nieprzyjacielowi!“ szuka więc tego miecza, który według zwyczaju złożono blizko urny w ziemi, lecz w chwili gdy go miał wziąć, bojaźń go zatrzymuje. Podług dawnych mniemań, naruszający pokój umarłych, wyganiał ich przez to ze szczęśliwych ustroni *Walhalli*, a cienie ich wzdychając, każdéj nocy błąkały się około grobów znieważonych, aż nim zostaną wtrącone do ciemności *Nifflheimu*. Agantyr drży, waha się, nakoniec drżącą ręką porywa miecz, lęcz

w tymże czasie obala urnę, która spadłszy na szyszak kruszy go i pokrywa bezbożnego, popiołem jego ojca. Natenczas zdjęty przestrachem, czując własną sromotę, na siebie obraca dręczące go szaleństwo. Nakoniec pojmuje słowa wyroczni i dokonywa swego przeznaczenia mieczem, którym miał zgładzić swego wroga, zatapiając go we własném sercu. Scena ta straszliwe wywiéra działanie.

Starkother stawi czoło ośmiu pozostałym braciom i trupem ich u nóg swych kładzie. Broni słabego króla od rokoszu wszczętego przez wyuzdane szaleństwa jego małżonki. Król nakoniec znużony wojną, sprzykrzywszy panowanie, wkłada swą koronę na głowę młodego *króla morza*, którego Starkother był doradźcą i przewodnikiem, opiekując się nim i jego kochanką piękną Helgą. Młody bohatyr właśnie jest synem króla, którego Starkother zamordował. Rozwiązanie prawdziwie bohatyrskie, kończy zawód starca. Młodego wojownika obwołano królem wśrzód okrzyków rycerzy,

ktorzy uderzając o swe tarcze nazywają go śmiałym. Natenczas on przez chwilę się zastanawia rozmyślając o nowém swém przeznaczeniu, potém obracając się do Starkothera: „o mój zbawco, rzecze, opiekunie Helgi, obrońco królestwa, składam ci dzięki za to dobrodziejstwo!“ On go uściska, po czém odstępując i dobywszy miecza woła: Zabójco mojego ojca, krew jego, jego cień zażalony wzywają mię do pomsty. Wręcz cię wyzywam na śmiertelną walkę! — Niech ci bogowie dadzą życie a mnie śmierć zeszlą, odpowiada Starkother w ponuréj nadziei. Oni występują do walki. Wkrótce przynoszą zwłoki starego wojownika, którego śmierć jest tryumfem, wybawczém odkupieniem. Wnet daje się słyszeć odgłos pioruna, król woła: „Słyszycie! oto Thor (*) posuwa się na swym wozie, aby go przyjąć.“ Wyroki są zaspokojone i zwyciężca nad ciałem nieprzyjaciela, którego winien był zgładzić, głosi apoteozę bohatyra.

(*) Bóg pioruna.

Tragedyja *Hakon Jarl*, należy do innych czasów, do innego rzędu wyobrażeń. Rzecz tu idzie o walkę chrześcijaństwa z religiją Odina. Ostatnim obrońcą téj ponuréj religii, jest dziki Hakon, potężny Jarl Norwegii jak król prawie. Ponad licznémi przygodami, jakich dostarczyła autorowi starożytna saga (*) z któréj wziął przedmiot do swéj tragedyi, wznosi się otoczona posępną wielkością postać tego starego wojownika z jego gwałtownémi namiętnościami, dzikiém męztwém, zgubném przywiązaniem do swych bogów, krwi i rzezi chciwych i przeczuciem blizkiego upadku ich ołtarzy, z którém napróżno się passuje. Olaf szerzyciel wiary chrześcijańskiéj w Norwegii, poburzył przeciw Hakonowi wieśniaków, których jego gwałtowności obudziły zawziętość. Wojsko tego spółzawodnika zwiększa się, niebezpieczeństwo coraz się staje groźniejszém; nakoniec donoszą temu zatwardziałemu obrońcy

(*) *Saga:* to co się mówi, co się opowiada; opowiadanie przekazane ustném podaniem.

pogaństwa, iż syn jego starszy zginął z ręki Olafa. Zostawszy na osobności oddaje się smutnym myślom: „Szczęście, powiada, poczyna mię odstępować. Jakże więc! czyliż mgła gęsta otacza *Walhallę*? Niknieli blask jéj, mieliżby przeminąć wiekuiści bogowie; czyliż światło Odina więcéj nie jaśnieje? Czyliż Thor wyzuł się z siły? Azali to już jest mrok bogów i następuje czas tryumfu złych genijuszów? Daléj Hakonie; daléj stary bohatyrze północy, podnieś się przeciwko wrogóm do boju..." Od téj chwili wyłącznie się on poświęca zachwianéj sprawie bogów i poprzysięga wszystko im przynieść na ofiarę. Zdaje się mu, iż czyta w runach (*) jakie przypadkiem wpadły mu w oko, tajemniczą przestrogę, rozkaz nieba, któremu winien bydź posłusznym. Bogowie pytają go co ma najlepszego: „Mam, rzecze, jeszcze syna, jest to młode pacholę, włosów światłych, oczu jak niebo jasnych; czysty on jest jak gwiazda zaranna, żywy jak sar-

(*) Litery czarnoksięzkie, kabalistyka północy.

na przeskakująca po skałach.“ Hakon postanawia go zamordować i prowadzi do poświęconego gaju, gdzie są obrazy bogów i ołtarz ofiarny. Było to rankiem o wschodzie słońca; malutki Erling naiwnie wyraża swą niewinną radość widząc horyzont ociągniony jasną czerwonością i perły rosy. Lecz nagle bojaźń zdejmuje biédne dziécię na widok groźnych postaci posągów i wielkiéj brody Odina. Ojciec doń mówi: „Uklęknij mój synu, wyciągnij ku niebu ręce i modl się w te słowa: „ojcze całego świata, wysłuchaj modłów małego Erlinga i przyjmij go pod swą ojcowską opiekę.“ Kiedy dziécię bynajmniéj nie przeczuwając swego losu, tę do Odina zanosi prośbę, ojciec stojąc za nim chce weń ugodzić, lecz sztylet z rąk się mu wymyka na ziemię. Erling go podnosi i mówi: „Sztylet twój, mój ojcze, wypadł; jak on błyszczy, jak jest ostro stalony! Jak lat większych dorosnę, będę miał równie śliczną broń, aby cię bronić przeciw twym nieprzyjaciołom.“ Bez względu na tę odpowiedź, któréj dziecinna

prostota przeszywa serce, Hakon uniesiony krwawém i świętém szaleństwem, dokonywa okropnéj swéj ofiary.

Wkrótce widzimy Hakona po poniesionéj klęsce uciekającego, umierającego od zmordowania i pragnienia. Gdzie? W mieszkaniu Thory, niewiasty którą kochał, potém opuścił i któréj pozabijał braci. Thora co go zawsze kocha, wszystko przebaczyła. Ona go przyjęła, dała mu przytułek, stara się go pocieszać, lecz nagle przerażona sama tém niezwyczajném położeniem: „Powiedz mi, Hakonie, zawołała, czyliż rzeczywiście jesteś tym wybladłym i niemym człowiekiem, jakiego tu widzę, i który bez szyszaka, bez pałasza szkarłatnego, znużeniem osłabiony i zadumany, opiéra się na swym mieczu?“ Hakon jéj odpowiada w ponurém obłąkaniu: „Widmo, które masz przed swémi oczyma, było niegdyś wodzem norwegskim. Bohatyrowie hołd mu składali i słuchali jego rozkazów; padł on w bitwie, było to pod *Hlade*, dawno już od tego czasu, już prawie o nim zapomniano. Dopiéro on

wraca i cień jego snuje się wśród ciemności... On się zwał Hakon."

Ostatnia scena jego życia silném i głębokiém przeraża duszę działaniem. Hakon zamknięty w podziemnych sklepieniach, nikogo nie ma przy sobie prócz niewolnika nazwiskiem Karker, nakształt nierozumnego źwierzęcia bez woli, nawykłego do ślepego posłuszeństwa na najmniejsze skinienie Hakona, a który dopiéro życie jego ma w swych rękach, albowiem daje się słyszeć głos zzewnątrz z przyrzeczeniem nagrody od zwycięzcy temu, któryby przyniósł głowę Hakona. Po kilku chwilach milczenia, Hakon odzywa się w pół głosem:

„Cóż! Karker, spisz-li?

NIEWOLNIK.

Tak potężny władźco.

HAKON.

Ah! głupi niewolniku... Hakonie, Hakonie, to tylko nierozumne bydlę zostało z całéj twéj potęgi! Nie dowierzam mu; czyliż podobnie ograniczona istota, może

znać obowiązki wierności?... Karkerze, oddaj mi swój sztylet, niewolnik nie nosi oręża.

NIEWOLNIK.

Od ciebiem go otrzymał, panie, oto masz go.

HAKON.

Dopiéro zaśnij.

NIEWOLNIK.

Natychmiast.

Przemożny Hakon, przywiedziony do stanu, iż musiał życie swe strzedz od zdrady, własnego niewolnika chce czuwać, lecz mimo wszystkie usiłowania zasypia i podczas snu, miotany niepokojem duszy, widzi on swe ofiary, małego synka Erlinga krwią zbroczonego; wstręt go przejmuje, żąda śmierci, woła: Karker.

NIEWOLNIK.

Otom jest panie. On zawsze przez sen marzy.

HAKON (*przez sen mówiąc*).

Weźmij tę włócznią i ugodź we mnie.

NIEWOLNIK (*w ogłupieniu*).

Będziesz się gniewał, skoro się obudzisz.

HAKON.

Zasłużyłem na to, Karker, uderz.

NIEWOLNIK.

On jest mym panem, muszę mu bydź posłusznym.

HAKON.

Czy wszystko skończone (*grożąc*) nędzniku. Utop ją natychmiast w mém sercu. Ty albo ja musimy umrzeć.

NIEWOLNIK.

A więc niech on ginie.

I zatapia włócznią w piersi swego pana ze ślepą i nierozumną służebnością.

Zdaje się mi, iż jest coś nadzwyczaj uderzającego w tém śmiałém rozwiązaniu, w którém widzimy jak ręka niewolnika posłuszna z instynktu i przez nałóg rozkazom swego pana, nie śmié nawet sprzeciwić się sennym jego marzeniom i nie zadadź śmierci, któréj wzywa dusza jego szałem dręczona.

Przebywając szereg wieków i zbliżając się do czasów feudalizmu i rycerstwa, natrafiamy na jednę z najznamienitszych tragedyj

Oelenschlaegera z téj epoki, znaną pod tytułem *Axel i Walbor*.

Przedmiot téj tragedyi wzięty jest z dawnéj ballady północnéj, jednego ze śpiewów ludu najpowszechniéj znanych w Skandynawii. Godną jest uwagi, jak pewne historyje krążą we wszelkim kierunku po całym przestworze tego rozległego kraju, i jak każde miejsce przywłaszcza je sobie, aby niemi zwiększyć skarb swych podań. Do dwudziestu jest dolin od Danii aż w głąb Szwecyi i Norwegii, w których opowiadają, iż tam zaszły wypadki opisywane w historyi o młodym Axelie i pięknéj Walborze, i których grobowce mniemają u siebie widzieć tych strón mieszkańcy. Mógł więc autor tragedyi obrać miejsce sceny w jakiejkolwiek bądź części trzech królestw, albowiem podanie to jest wszędzie rozszérzone, że tak rzekę, jak w domu. Wybrał on *Drontheim*, tę starożytną stolicę królów Norwegii. W pamiętnym kościele katedralnym tego miasta, odbywa się sztuka; sztuka ta bowiem romantyczna co do przedmiotu, mającego na celu

skréślenie obrazu uczuć i obyczajów wieków śrzednich, zamyka się w granicach miejsca najściśléj klassycznych. Nie przez wzgląd bynajmniéj na Arystotelesa, Oelenschlaeger dał tę formę swéj tragedyi; do zakréślenia podobnych granic miał on poetycką pobudkę. Historyja miłości na północy zupełnie czystéj, w zapasach z surowémi przepisami kościoła, cześć wierności, zapał poświęcenia się, unoszące się nad całém dziełem, najwłaściwiéj znalazły dla się miejsce pod arkami i gotyckiémi stropy, w poświęconém ustroniu jednéj z najdawniejszych świątyń na północy.

Młody Axel wraca z Rzymu do swéj ojczyzny, przynosząc pozwolenie zaślubienia pięknéj Walbory bez względu na pokrewieństwo w stopniu, w jakim kościół wzbraniał małżeństwa. On ją znajduje wierną po pięciu leciech nieobecności i całkiem się oddaje radości i nadziei. I kiedy z uniesieniem, w kościele, w przytomności Boga, poprzysięgają sobie niezmienną stałość, pierścień który Axel chciał włożyć na palec Wal-

borze w znak zaręczenia, upada i ginie, tak że go nie można znaleźć. O Boże, rzecze Walbora, on się potoczył w grób przodka naszego Harald a!.. i smutne acz niepewne przeczucie, zdaje się zdala zagrażać ich szczęściu. I rzeczywiście król Norwegski, stara się przeszkodzić ich małżeństwu. Król ten także z pokolenia wielkiego Haralda, jak widać w stopniu dalszym niżeli Axel, spodziewał się korzystać z przeszkód, jakie już usunięte zostały przez kościół, o czém jeszcze nie wiedział i postanowił podzielić swój tron z narzeczoną bohatyra. Pewien mnich chytry i złego serca, czarny brat Knut, potrafił wynaleźć w pozwoleniu papiezkiém pominioną ważną okoliczność. Wprawdzie przeszkodę pokrewieństwa w niém zniesiono, lecz pozostała inna niemniéj ważna, według wyobrażeń onych czasów o któréj zupełnie zapomniano. Axela i Walborę razem chrzczono, a ztąd związek małżeński im jest wzbroniony. Knut zawiadamia o tém wszystkiém z szatańską radością czcigodnego arcybiskupa Er-

landa, którego serce dobre i czułe najsroźéj dotyka nieszczęście obojga kochanków; lecz nie może im dopomódz, i kiedy młoda para przybywa do kościoła w orszaku rycerzy i młodych dziewic wśrzód pochodni, kwiatów, przy odgłosie pieśni świętych, w chwili kiedy postępują ku ołtarzowi, biskup na czele duchowieństwa naprzeciw wychodzi i zatrzymując ich swą laską pasterską tak mówi:

„Nieszczęśliwi, starzec widzi się zmuszonym ze świętego obowiązku, zatrzymać was na drodze nadziei kwiatami usłanéj. Nie oddawajcie się rospaczy bolejąc nad swym losem; polećcie się opiece Boga i nie miejcie zażalonego serca ku starcowi, dla którego największą byłoby radością was połączyć, jeśliby wola nieba tego mu dozwoliła.“

I kiedy niewypowiedziana żałość opanowała Axela i Walborę, brat Knut, który niczego nie zapomina, przychodzi z kawałkiem płótna, jakie podług zwyczaju należało rozciąć na dwoje w znak wiecznego rozdzielenia kochanków. Potrzeba się poddadź te-

mu okrutnemu obrzędowi. Każdy z dwojga bierze za koniec płótna, a miecz co je na poły rozcina, zdaje się rozdzielać nazawsze pasmo ich przeznaczeń. Potém szanowny arcybiskup, którego scena ta rozdziera bolejące serce, odwołuje się dla dwojga nieszczęśliwych do prawa, jakie oni mają według innego zwyczaju, iż mogą sami pozostać w kościele, by powiedzieć sobie słowa ostatniego pożegnania. Zostawują więc ich na osobności. Boleść Axela wydziera się z niepowstrzymaną gwałtownością; żałość zaś Walbory ma ten charakter exaltacyi szałem obłąkanéj, i rospaczy marzeniami przesnutéj, jaki namiętność szczególniéj w kobiétach, często na północy przybiéra. Jest to stan duszy, który Oelenschlaeger najtrafniéj i z największą oryginalnością wyraża. Ona zdejmuje wieniec różany ze swéj głowy i patrząc nań w obłąkaniu:

„Róża biała, rzecze, jest znakiem wiecznéj miłości; patrz, płomienna czerwoność ziemska znikła, piękna jéj forma została białą, jak aniołów!

AXEL.

Ah! Walboro! Walboro!

WALBORA (*wyciągając ku niemu rękę*).

Więcéj męztwa, mój przyjacielu!

AXEL.

Męztwa: czyliż podobna tak się łatwo uspokoić, tak prędko?

WALBORA.

W noc grobową wszystko jest spokojne (*ona obraca wzrok na obraz Heralda na grobowém jego kamieniu*). Byłam do tego przygotowaną.

AXEL.

O Walboro! przygotowaną! Nie, nigdy twe oko nie zabłysło taką radością niebieską, jak w chwili gdyś podała rękę twemu narzeczonemu!

WALBORA.

Nigdy oko żywiéj nie jaśnieje, jak kiedy jest łez pełne.

Okrutna! woła Axel, możesz-li tak serce przebijać i to nazywać kochaniem!

WALBORA.

.....Oczy me wkrótce oschną wszystkie

swe łzy wypłakawszy: teraz strudzone i pomięszane, nie mogą znieść jasności dnia. Nim łagodna śmierci ręka mię dotknie, kościół święty jest moją matką; on chętnie użyczy zasłony swéj córce. Wówczas tu często w nocy przechadzać się będę; przywołam w pamięci mój piękny sen o twym powrócie Axelu i o prześladowaniach srożącego się na nas losu. Duch mój ścisle się zleje z Bogiem w błagalnych modłach i pieniach, a ten co mię usłyszy, ulży boleści mego serca.

AXEL.

O Walboro!

WALBORA.

Cicho!... Zasiadłszy w ciasnéj komnacie, szyć i tkać będę złotem na jedwabiu; spokojna i smutna, będę pędziła dni jak niewinna synogarlica, co nie znajduje miejsca gdzieby spoczęła, nie zatrzymuje się na gałązkach zielonych, chociażby najwięcéj była zmordowaną i która nigdy nie pije wody przezroczystéj, nim nie zmąciłaby jéj nogami.“

Ostatnie to porównanie, tak pełne niewinnéj prostoty i tkliwe, trafnie jest przeniesione z ballady do tragedyi. Co zaś szczególniejsza, mówiąc nawiasem, iż taż sama myśl słowo w słowo znajduje się w pięknym śpiewie ludu hiszpańskiego, zapewne dawniejszym jak z wieku piętnastego (*). Myśl ta tak wiele ma naturalnego, nieudanego wdzięku, pobudka do niéj tak jest nieprzewidzianą, iż trudno przypuszczać aby się ona dwakroć nastręczyła imaginacyi. Jakąż drogę musiała odbydź, aby z głębi Hiszpanii dostać się nad brzegi morza Baltyckiego, aby przeszła z romansu ludu prostego, do narodowéj ballady,

---

(*) Prawie dosłówne tego tłumaczenie znajduje się w śpiewie hiszpańskim, gdzie synogarlica tak mówi:

Que ni poso en ramo verde,
Ni en prado que tenga flor,
Que si hallo el agua clara
Turbia la bevia yo.

Cancienero de Romances pag. 245. Antwerpija 1550 roku.

Coś podobnego także znajduje się w śpiewie serbskim.

ztąd ją wziął Oelenschlaeger? Jest to przykład jeden z tysiąca tych dziwnych podróży jakie odbywa śpiéw, lub strofa, opowiadanie albo jakiś szczegół, przygoda, obraz, przez wiele ludów i wieków z jednego końca świata na drugi.

Lecz wróćmy do naszéj tragedyi.

Aż dotąd Oelenschlaeger trzymał się wiernie wypadków, tak jak są opisane w balladzie. Wtém nagle od niéj odstępuje przez pomysł dziwaczny, o którym namienimy, aby dadź wyobrażenie o dziwności, jak o miłym wdzięku jego talentu, jaki staraliśmy się pod każdym względem ocenić. Nim przyjdziemy do końca tego rozbioru, natrafimy na obrazy czyste i tkliwe: to co następuje nosi na sobie cechę wymysłu i fantastyczności. Stary biskup Erland niespodzianie odkrywa w niemcu Wilhelmie, towarzyszu broni Axela i który razem z nim przybył, syna niewiasty którą kochał i która poślubiła wiarę innemu. Wilhelm ten przedstawia dziwny charakter w zmieszanym nieporządku, jak sam o tém powiada: „dziwne jest

we mnie przyrodzone usposobienie, potworny zlewek różnych żywiołów, miłości, nienawiści, gniewnych uniesień, czułości. Wieczne wzburzenie wre w mém sercu; dla uśmierzenia go rzucam się w zgiełk bitew, lub acz z niemém lub głębokiém uczuciem wierności, przywiązuję się do losu walecznego przyjaciela. Takém uczynił Axelowi. Sam nie mogę kochać, lecz pociechą jest dla mnie śpieszyć na pomoc szczęśliwym co się kochają.“ To szczęśliwe usposobienie obowiązuje go szukać śrzodka dla połączenia dwojga kochanków, wyswabadzając ich z rąk króla. Srzodek, którego się on chwyta, jest nadzwyczajny; pochop zaś doń podał mu sen, jaki miał w kościele i w którym ukazał się mu święty Olaf, Biskup którego to widzenie skłania, gotów jest iśdź za nim. Wówczas dłużéj się nie rozwodząc, dziki Wilhelm woła z ponurym zapałem:

„Jeszcze nie czas, lecz w godzinę, kiedy dzień zmierzchem się kończy, kiedy zimna rosa pada na grobowe kamienie, wątpliwość na duszę człowieka a tajna obawa na sumnie-

nie zbrodniarza; kiedy mrok tajemniczy kościół zalega i gdy z góry te lampy wylewają na grobowce słabe światło przez ciemności; kiedy dzwon wybija północ, a sowa krzyk wydaje i kur pieje, o téj godzinie ukaże się w ozdobach królewskich święty Olaf, władźca nocy, aby przestraszyć zbrodnią, skarać grzesznika i gorzka łza świecąca w oku niewinności, jego całunem zostanie otartą."

Na tém się kończy akt trzeci: na początku czwartego zakonnik Knut, czuwa w kościele z kilką żołnierzy (nie wiadomo dla czego). Oni rozmawiają o ostatnich królach norwegskich i spór wiodą o miejsce jakie im wypada naznaczyć. Stary wojownik norwegski obrusza się na miękkość psującą dawne obyczaje; powstaje przeciwko wynalezieniu kominów, jakie poczęło wprowadzać zamiast ogniów rozpalanych wpośrzód izb i ciemnych kłębów dymu na około, podług obyczaju dawnego czasu, nade wszystko oburza się na zniewieściałe używanie szklanek do picia i z żalem wspomina o tych wielkich rogach wołu dzikiego, które ludzie mężnego

serca duszkiem wypróżniali. Powoli rozmowa zwraca się do ukazywań się króla świętego Olafa i w chwili, kiedy stary wojownik poczyna opisywać w jaki sposób one zachodzą, następuje ukazanie się w głębi sceny. Widmo starego króla posuwa się krokiem powolnym i daje znak wojownikóm aby ustąpili. Ci są mu posłuszni; sam tylko zakonnik zuchwały z bezbożności zostaje i odbiera silny raz włócznią ciało mu przeszywający od którego pada. Wilhelm, którego mieć można za sprawcę ukazania się, przybywa z biskupem i Walborą; Axel przychodzi z drugiéj strony, wszystko jest gotowe do odjazdu. Axel chce wprzód po raz ostatni uklęknąć ze swą narzeczoną przed grobowcem Haralda. Wtém trzykroć daje się słyszeć dźwięk rogu wojennego rozlegającego się w dali: ukazuje się giermek Wilhelma z oznajmieniem, że ucieczka jest łatwą. Nieprzyjaciel, spółzawodnik króla, nagle przybył do portu z liczną flotą, a odgłos rogu był hasłem do boju. Axel zatrzymuje się, przez chwilę się namyśla i mówi:

„Walboro już się oddalić nie mogę.“ I on leci na obronę króla który mu krzywdę wyrządził.

Obaj oni razem ukazują się na początku piątego aktu. Król raniony ucieka przed ścigającym nieprzyjacielem; Axel go broni i obwięzuje mu ranę szmatem tegoż płótna, jakie kościół rozdarł w znak rozdzielenia jego z Walborą. Na ten ostatni dowód poświęcenia się, przypominający sposobem uderzającym królowi wszystkie jego niecne postępki, on się mięsza, dręczony zgryzotą sumnienia, swą dumą, podziwianiem się cnocie Axela i pewną bojaźnią własnego poniżenia przez szlachetność bohatyra; i wówczas między nimi poczyna się następna, dziwnéj lecz niepojętéj uszczypliwości, rozmowa:

KRÓL.

Czyliż to jest z twéj strony okrutne natrząsanie się, iż się chcesz zemścić, albo prosto wielkość duszy? Jak mam to rozumieć, Axelu! chciałżebyś żarzące się węgle wysypać na mą głowę?

AXEL.

Nie, przez świętego Olafa, pragnę ci służyć wiernie, nie czyniąc ci żadnych skarg ani wyrzutów.

KRÓL.

Ah! ta wielkość duszy jest największą dla mnie karą. O Hakon Herdabreith, biédny książę, najdzielniejszy z twych bohatyrów, gardzi tobą!

AXEL.

Przez Boga i moję Walborę! Panie, ja cię poważam.

KRÓL.

Dopiéro wierzę ci; przysięgnij mnie! dobrze! tegom żądał. A więc Hakon postąpił nieopatrznie, jak młody król, nie zaś jak wzgardy godny, nikczemny człowiek?

AXEL.

Któż nie zna potęgi miłości i nie wié jak ona unieść może?

KRÓL.

Dobrze! dopiéro mówisz wprost do mego serca; dzielny bohatyrze, wierność twa i wielkość duszy silnie mię poruszają.... (*nagle*

surowym głosem) A jednakże, jeślibym cię podejrzéwał, iż śmiész myśleć że boleść, słabość, wyrywają z ust mych podobne wyznania, Axelu, chwyciłbym miecz mój lewą ręką i wyzwałbym cię na śmiertelną walkę.

AXEL.

Panie, przysiągłem na Walborę, iż cię poważam!......

KRÓL (*żywo*).

Słuchaj, przewiniłem; lecz czystość, wielkość twéj duszy oczy mi otworzyły i dopiéro w zupełnéj wolności, albowiem mocne mam postanowienie, poskramiam namiętność mego serca i daję ci Walborę, oddaję ci wszystko co mi jest najdroższém w świecie; nie miéj do mnie żalu, widzisz mą ofiarę.

AXEL.

Widzę wspaniałomyślny królu i Bóg widzi także!

KRÓL.

Dopiéro uściskaj mnie.

AXEL.

Strzeż twego ramienia.

Król.

Oh! rana moja już nie przyczynia mi bolu.

W téj chwili nieprzyjaciele wpadają do kościoła. Axel broniąc króla odbiéra śmiertelną ranę. On zostaje jeden na scenie, usiada na kamiennéj ławce pod słupem, na którym wyrażone było jego imie i Walbory; zaleca swemu wiernemu Wilhelmowi mocniéj go oprzeć o pilastr aby nie upadł umierając i kona śpiéwając dla siebie pieśń pogrzebową. W tę właśnie chwilę, gdy on oddał ostatnie tchnienie, przybywa Walbora. Nie możemy się odjąć, aby nie przytoczyć następnego miejsca, wyrażającego gwałtowne uniesienie boleści, w którém dusza rozdarta i obłąkana, pogrąża się jakby w smutnym snie.

Walbora (*patrząc na Axela*).

Jakże on jest piękny w śmierci! Lecz twéj szlachetnéj twarzy włosy nadają wyraz zbyt dziki. (*Ona układa jego włosy*). Teraz lepiéj jest... czoło jego jaśnieje! Jeszcze ten pocałunek.... Chcę mu zamknąć oczy.

Będziemy przedzieleni przelotną chwilą czasu!

WILHELM.

Ty bledniejesz, nieszczęśliwa dziewico?..

WALBORA.

Axel tam, daleko jest bladszy! Nie mów nic Wilhelmie... (*Jakby w sobie zatopiona*) Oh! jak tu jest dobrze! przez te okna jak światło pięknie się przebija! Axel, wszystko tak jest pięknie dzisiaj jak było wczoraj, gdyś ty wierną Walborę przyciskał do twego łona. Jak lubię ten kościół! o ciche ustronie! Tam we dwojgu, jedno koło drugiego będziemy aż do dnia ostatniego.—Tak, ty przy swym ojcu, a biédna Walbora obok swéj matki! I kiedy północ wybije, kiedy blizko tych okien, słowik ukryty w brzozach kwilić pocznie, wówczas marmur się roztworzy i w ciemne głębie grobowca Haralda wemkną się błędne nasze dwa cienie! Potém podawszy sobie ręce, postąpimy ku ołtarzowi. Staniemy na najwyższém miejscu, kiedy z nieba księżyc pływający na obłokach, rzuca ciemny odbłysk na nasze blade

twarze. Wzruszony słowik odezwie się miłym głosem i gdy nadstawioném uchem słuchać śpiéwu jego będziemy, pamięć życia w sercach się naszych obudzi i żywiéj czuć będziemy jakeśmy się niegdyś kochali. Po za pilastrami kiedy księżyc zniknie, powoli pójdziemy zająć nasze miejsca. Potém z grobowca Haralda trzykroć w okrąg obszedłszy, czule się pożegnamy! — I w głuchych miejscach naszego przytułku zaśniemy na dzień cały. Oh! jak w głębi grobów sen nasz będzie spokojny, kiedy słońce od nich się odbija i kiedy nad nami rozlegać się będzie szumny gwar żyjących.“

Po tém wylaniu się gwałtownéj boleści, która zdaje się przedwcześnie przedstawiać wzruszenia drugiego życia, pamiątki i żałośne wspomnienia po za grobem, zbliża się godzina śmierci Walbory. Ona znajduje pierścień dany jéj przez Axela, który jak mniemała potoczył się do grobowca Haralda i włożywszy go na swój palec: „dopiéro, woła jestem narzeczoną Axela, teraz możemy razem spocząć w jednym grobie.“

Od téj chwili boleść jéj staje się w pewnym rodzaju obłąkaniem czułéj radości. Prosi Wilhelma zaśpiéwać jéj starą pieśń o *Adze* i *Ilsie*, nie przestając aż w miejscu, kiedy Ilsa łączy się ze swym przyjacielem przy śmierci. Wilhelm bierze swą arfę i kiedy ona kładzie ślubny pierścień na palec Axela, śpiéwa balladę. Gdy śpiéw dociągnął do tych słów: „I tegoż dnia w miesiąc potém, Ilsę w grób schowano:“ zatrzymuje się, widzi Walborę nieruchomą z głową pochyloną na rękę Axela. W tęż samę chwilę oznajmują, iż król zginął a z nim ostatni potomek wielkiego Haralda. Tak wygasło jego wsławione i nieszczęśliwe plemie, które zgubny los dotknął w miejscu gdzie jego były złożone popioły i które z niecofnionych wyroków, dokonało życia w ostatnich potomkach na stopniach jego grobowca.

Kiedy od dzieł Oelenschlaegera, któreśmy przebiegli, przechodzimy do jego poematu dramatycznego pod tytułem *Aladin albo cudowna lampa*, doświadczamy podobnego wrażenia, jakiego doznałby człowiek

przeniesiony uderzeniem laski czarodziejskiéj z lodów Islandyi na kwitnące różami doliny Kaszmiru. Oelenschlaeger tą razą zdaje się, iż chciał pójśdź wbrew zwyczajnéj swéj poezyi, przesiedlając ją, iż tak rzekę, ile tylko było podobna. Zresztą autor ten okazuje w swych pomysłach obfitość, zbytek, wyszukanie, stanowiące cechę charakteru poezyi wschodniéj i możnaby wnosić, iż on obrał przedmiot *Aladina*, aby raźniéj wykazać rodzaj imaginacyi, jaki go nieraz ścieśniał, gdy wykładał surowe podania północy. Oelenschlaeger należy do szkoły niemieckiéj i jak każdy poeta z téj szkoły, zawsze w układzie dzieła ma na widoku myśl filozoficzną. Tak w historyi fantastycznéj i gminnéj *Lampy cudownéj*, przewodniczyła mu idea, jaką rozwinął w wielkim poemacie dramatycznym, a którą dosyć jest trudno wyrazić. Autor w wielu miejscach do niéj się zwraca, lecz nadto on jest poetą, aby ją miał wyrażać sposobem oderwanym. Zdaje się, iż ta cudowna lampa z siłą magiczną do niéj przywiązaną, jest dlań znakiem szczęścia,

światła, prawdziwego życia duszy, oddającym świat cały pod rozporządzenie tego, który ją umié zachować. Cóżkolwiek bądź, to symboliczne znaczenie ma tę przynajmniéj zaletę, iż zlekka dając się czuć, nie niweczy piękności dzieła. Nade wszystko zaś podoba się w tym dramacie pomysł oryginalny i trafny osoby Aladina, tego ulubieńca przeznaczeń, któremu wszystko pomyślnie idzie, bez najmniejszych ze strony jego starań, który nie tracąc nigdy serca w przeciwnościach i szczęściem swém je przezwyciężając, po wielu przygodach i nieprzewidzianych wypadkach dostępuje szczytu szczęśliwości. Przyjemnie jest widzieć upadające przed jego szczęściem i talizmanem zło-wieszcze przewidywanie Nurredina, zawziętą i wiarołomną nienawiść Sindhaba i potęgi przyrodzenia ubiegające się o usłużenie temu dziécku szczęścia.

Sztuka ma łatwe zwróty i barwę wschodniéj powieści; zrozmaicone sceny życia i osób najrozmaitszych, następują po sobie i mięszają się w tym naturalnym i cudnym

nieporządku, jaki stanowi urok i interes *Tysiąca i jednéj nocy*. Mimowolnie zdumiewać się potrzeba, zapominając, iż poeta którego czytamy, urodził się nad brzegami Zundu, iż on jest uczniem i następcą Skaldów, opiéwaczem Baldera i Hakona Jarla.

Jest jeszcze jedno dzieło Oelenschlaegera, poema pod tytułem. *Życie Jezusa Chrystusa wystawione w porach roku*, którego ze względu jego oryginalności, nie możemy pominąć milczeniem, przebija się w niém wysoki mistycyzm niemiecki, wraz z tą dążnością upowszechnioną przez niektórych pisarzy francuzkich ostatniego wieku, chcących tłumaczyć wszystkie ideje religijne przez fakta fizyczne. Jest to w pewnym względzie entuzyazm Klopsztok'a i razem systemat Dupuis i Wolnej'a. Autor, chrześcijanin podług swych wyobrażeń, widzi w każdéj zmianie roku, okrésy życia Jezusa Chrystusa; czyta w naturze téż tajemnicę miłości, jaką objawia Ewangelija. Widok pór roku przedstawia mu naprzód

Narodzenie syna Bożego, którego wiosna kołysa na zieloności. Naukę jego opowiadają głuchy szum lasów, śpiéw ptaków, piękność i wonność kwiatów. Cuda jego są te, jakich dokonywa uroczném i dobroczynném działaniem natury, przywracającém wzrok ślepym, ożywiającém serca skrzepłe od śmiertelnego zimna. Jasność dni gorących, co oświecając niszczy, jest to omamiająca i płonna nauka faryzeuszów. Drzewa zeschłe z pozółkłém liściem, są to saduceusze, owi niepocieszeni mędrcy, których jałowe nauki wysuszają soki życia. Co się tycze tajemnicy stołu pańskiego, czyliż rok w swym obiegu, nie przedstawia nam jéj znamienia? Czyliż po dniach suszy nie otrzymuje się wino, aby pokrzepić i wzmocnić człowieka, jak uczęstnictwo w pomocach niebieskich dodaje mu ducha po wytrzymanych probach i przywraca świéżość piérwotnéj niewinności? lecz następuje pora burz; potęgi nocy biorą górę, ciemności naokoło zalegają, życie świata dobiega kresu, Bóg znika i zdaje się umierać a zamiast pięknego dziécięcia na zie-

lonośći kołysanego, pozostają tylko martwe zwłoki zawieszone na drzewie z liści ogołoconém.

Tymczasem uczniowie Chrystusa głoszą pieśń tryumfu; ten którego wzywają żyje wpośrzód téj pozornéj śmierci. Zaburzenie i nieporządek świata, może tylko przez chwilę zasłonić i jakby ogarnąć, lecz nie zniszczyć Boga w nim mieszkającego. „Tyś jest dobrym, wiecznym, mówią mu, nie możesz zaginąć.“ A tak śpiéwem wiary i miłości, na cześć zasady niepodległéj zagubie dobra, kończy się ten szczególniejszy hymn wielbiący dobroć bozką, w którym się męszają w jedném zachwyceniu cześć piękności moralnéj, apoteoza natury i pokłon Chrystusowi.

Przytoczenie początku tego poematu, poda o nim dokładniejsze wyobrażenie, niżeli wszystko, cobyśmy o nim powiedzieć mogli.

Narodzenie Chrystusa. Każdéj wiosny, skoro mgły znikają, rodzi się nanowo dziéciątko Jezus; aniołowie śpiéwają w powietrzu, w lasach, w wodach; jest to on,

nasz Zbawiciel! I piękna natura raduje się, zdobiąc się zielonością nadziei.

Wtém przed młodymi niewinnymi pasterzami, patrzającymi w niebo w noc pogodną, ukazują się aniołowie na promieniach księżyca, śpiéwając: „*dzisiaj się narodził nasz Zbawiciel z łona wiosny, przeczystéj dziewicy Maryi.*"

Do ziemi przywiązuje go wieniec z kwiatów, niemowlęca jego mowa jest tchnieniem zefiru; słoma nowa służy mu za posłanie; oko jego jest to połyskujący się błękit niebios.

I pasterze udają się do *Bethleem;* oni poruszają serca zimne i zatwardziałe. Idźcie na pola, mówią oni, idźcie oglądać niemowlę na słomie nowéj; uśmiech i głos jego niewinny mogą wznieść serca z ziemi aż do nieba.

Wówczas aniołowie wracają do swych przybytków niebieskich, a pasterze zmierzają ku *Bethleem*, opowiadając cuda jakie się im przytrafiły; szydzą natrząsając się z ich prostoty, lecz oni powracają na pola, padają na kolana przed dziéciątkiem i wierzą w Boga.

Gwiazda błyszczy na niebie i podaje znak królóm w ich krainach wschodnich, a promienie jéj zlewając się świętym chorem łagodnie zniżają się ku ziemi i królowie błogosławią święte imie Zbawiciela, uśmiéchającego się na rękach jego matki.

I wznoszą się oni jak kwiaty ozdobione szkarłatem i złotem; działki niewinne, tak czyste, tak wdzięczne, przez połowę prosto się wzbijając, przez pół pochylone ku ziemi, podając swe urny złociste pełne myrrhy i wonnych kadzideł."

Łatwo jest widzieć z tego krótkiego ułamku, iż jeżeli to dziwne poema nie jest wolne od ciemności, nie braknie mu atoli wdzięków i oryginalnych obrazów imaginacyi.

Przymuszony jestem dla zakończenia niniejszego artykułu, zamilczeć o wielu innych dziełach, jakie niemniéj od pomienionych, przyłożyły się do rozszerzenia sławy Oelenschlaegera. Największą dla mnie zasługą będzie, gdym zdołał obeznać czytelników z nazwiskiem jego, jeślim potrafił

dadź jakiekolwiek wyobrażenie o zaletach i wadach poety, zasługującego pod każdym względem, aby powszechniéj był znanym.

(*Litterature et Voyages par J. J. Ampère.*)

ROZMAITOŚCI.

Ignorantia mater cunctorum errorum maxime in sacerdotibus vitanda.... Sciant igitur Sacerdotes Scripturas Sacras.
Dislinct 35. c. 2.

Ku wygodzie młodzi akademickiéj wyszło dzieło w typografii *P. Józefa Zawadzkiego w jednym tomie in 8vo roku 1835.* Introductio in Libros Sacros Veteris Foederis usibus Accademicis accomodata a Dr. Fonrerio Ackermann.—Znane jest imie w uczonym świecie Jahna, wielce cenione od samychże akatolików, jego dzieła pełne erudycyi. Z tych piérwsze miejsce trzyma, Wstęp krytyczny do ksiąg pisma Ś. Starego Testamentu. Jasność, gruntowność, moc dowodów, znajomość języków wschodnich, systemat, są téj księgi zaletami.

W tym rodzaju piérwszém dziełem klassycznéin nazwać się może. Duch jednak czasu wziął przewagę, nad umysłem czystym autora, wiele uchybień i wolnych opinij dostrzeżono, z tego względu, nigdy to dzieło nie uzyskało approbaty cenzury rzymskiéj. Ackermann następca w Katedrze Jahna, umyślił to sprostować w Jahnie, co obrażało Teologów katolickich i szczęśliwie dokonał. Nie szukał on w tém nowém wydaniu, jak sam zeznaje, próżnéj chwały i korzyści własnéj, lecz wierny obowiązkowi swego powołania, chciał to podadź uczniom swoim, czego naucza kościół Rzymsko-Katolicki, i co się z jego duchem zgadza. Wiedział bowiem dobrze, że we wstępie do pisma Ś. o tych się rzeczach najwięcéj trakluje, które do historyi należąc, gdzie niewiele dla domysłów i dowcipu zostawiono; wszystko zaś na świadectwach się opiéra. Jakoż wydawca trzymając się téj zasady, nie odstąpił od przepisów kościoła, umié jednak należycieroz różnić naukę kościoła, od zdania szkół czyli osób pojedynczych, niepotępiając nikogo dla tych ostatnich. Ten sam porządek i materyj rozkład zachowuje co i Jahn. Dzieli rzecz na dwie części. — Część piérwsza w siedmiu rozdziałach §§. 147. zamyka wstęp ogólny do ksiąg Świętych Starego Testamentu, część druga we cztérech oddziałach, zawiéra 24 rozdziały i §§. 255. Wstęp szczególny do każdéj księgi pisma świętego. W piérwszéj części traktuje w szczegółach o autentyczności, nieskazi-

telności, powadze boskiéj i kanonie Ksiąg Swiętych, o wersyach, języku ksiąg Starego Testamentu i o śrzodkach zrozumienia jego. O stanie i losach textu hebrajskiego, oraz o sztuce krytycznéj. W części drugiéj, w oddziale piérwszym, w rozdziałach sześciu mówi, o księgach historycznych to jest: o *Pentateuchu* Mojżesza, o księdze Jozuego, Sędziów i Ruth. O księgach Samuela, królów i *Paralipomenów*. O księgach Ezresza i Nehemiasza i o księdze Esther. W oddziale drugim, w rozdziałach pięciu mówi o proroctwach w ogólności, i w szczególności, o prorokach większych i mniejszych. W oddziale trzecim, w rozdziałach pięciu, mówi o księgach poetycznych: o psalmach, o przypowieściach Salomona, o księdze Hioba, o pieśni nad pieśniami, o *Ekklesiastesie*. W oddziale czwartym o pismach Deutero-kanonicznych traktuje w rozdziałach ośmiu: o księdze Barucha, o częściach księgi Daniela, o dodatkach księgi Esther, o księdze Tobiasza, o księdze Judith, o księdze Ekklesiastyka czyli *Jezusa syna Syrach*, o księdze mądrości, nakoniec o dwóch księgach Machabejskich.

Na początku każdego paragrafu położone są pytania dla wygody uczących się, które w piérwszéj i drugiéj edycyi znajdują się na końcu. Wydanie jest dobre, papier i druk piękny, czytelny, cena umiarkowana. Pożyteczną rzeczą byłoby, żeby duchowni po

wsiach mieszkający, oddani posłudze kościoła, po swych bibliotekach mieli to dzieło, i co rok odczytać chcieli; znajdą względem téj księgi, która jest składem słowa bozkiego, wiele prawd trafnie i do naszych czasów nader pożytecznie wyłożonych, wiele trudności we wstępie szczególnym, gdzie Jahn najwięcéj wykracza, jasno i krótko rozwiązanych, czegoby daremnie szukali po obszernych woluminach, i to jedno dzieło wielu innych autorów zastąpić może.

X. A. F.....

— W VIII. części Wizerunków w oddziale *Rozmaitości*, uczyniliśmy krótką wzmiankę o nowych dwóch tomach zbioru pamiętników spółczesnych o Samozwańcach, wydawanego przez P. M. Ustriałowa Professora St. Petersburskiego Uniwersytetu. Dla bliższego oznajomienia czytelników naszych z tém dziełem ważném z wielu względów i dla historyi polskiéj, umyśliliśmy jeszcze niektóre przywieśdź o niém wiadomości. Oto jest kilka słów z przemowy do tomu czwartego:

„W tym czwartym tomie zawierają się przekłady dwóch rękopismów Polskich (*)

(*) Piérwszy z nich nosi tytuł: Rzeczy Polskich w Moskwie za Dimitra opisanie, przez jednego

udzielonych mi przez pewnego szanownego miłośnika dziejów ojczystych, z rękopismów uczonego Albertrandego. Oba rękopisma zamykają w sobie codzienne uwagi i postrzeżenia dwóch bezimiennych Polaków, z których jeden znajdował się w orszaku Maryny Mniszchówny, a drugi przy posłach polskich Olesnickim i Gąsiewskim. Dziennik piérwszego dochodzi do roku 1607, a drugiego do 15 Czerwca r. 1606. Dyaryusze te jako opisujące podróż Maryny do Moskwy, ostatnie dni panowania fałszywego Dymitra, strącenie jego z tronu, wytępienie Polaków i niewolą Maryny, mają wszystkie zalety jakich wymagamy od dzieł podobnego rodzaju: pilni postrzegacze opowiadają prosto, dzień w dzień co sami widzieli; ztąd wiadomości przez nich spisane, wyjąwszy dwie tylko niedorzeczne baśni, są w wysokim stopniu zasługujące na wiarę i ciekawe; nade wszystko zaś w sposób nader zajmujący, opisali oni układy Samozwańca z posłami polskimi, przywodząc niejednokrotnie akty urzędowe i mowy posłów, z których dowiadujemy się o wielu nowych szczegółach."

Uczony wydawca we wstępie do tomu piątego, w którym się zawiéra dyaryusz Ma-

---

tam obecnego roku 1605 do roku 1609; drugi Dyaryusz czyli dziennik posłów Olesnickiego i Gąsiewskiego r. 1606.

skiewicza, pomieścił wiadomość o samym Maskiewiczu, jaką tu przywodzimy:

„Samuel Maskiewicz był rodem z Litwy, ze szlachetnéj familii, mającéj swe dobra w powiatach nowogródzkim, pińskim i Słonimskim. Wcześnie wystąpił on na pole wojennych działań i nie schodził zeń do końca swojego życia. Polska pod koniec XVI, i w początkach XVII wieku, wrzała wojennym zgiełkiem: nieustanne rokosze czyli powstania szlachty przeciw królowi i senatowi, wojny ze Szwecyją, z Tatarami, z Turkami, z Kozakami, nie dawały jéj ani chwili pokoju i nieukrócona w swawoli szlachta nie wypuszczała z rąk miecza. Za ukazaniem się Samozwańców w kraju naszym otworzył się dla niéj obszerniejszy teatr: Panowie rzucili się do Rossyi ubiegając się o sławę i zdobycz, naprzód w ślad za Otrepjewem, potém za drugim Samozwańcem przezwanym złodziejem Tuszyńskim, pod chorągwiami Żołkiewskiego, Strusia, Rożyńskiego, Lisowskiego, Sapiehy i innych wodzów, których wojennémi czyny tak się sławi wiek Zygmunta III. Pobudzany i powszechnym przykładem i wrodzoném męztwem Maskiewicz opuścił matkę, dobra i ruszył pod Smoleńsk, w wojsku Zygmunta, według ówczesnego obyczaju, na własnych koniach z małym pocztem pacholików. Tutaj on przybył około 8 miesięcy; niejednokrotnie chodził do szturmu, podziwiał się rycerskim sprawom Szeina, męztwu

Rossyjan; lecz nie doczekał się końca oblężenia. Chorągiew Książęcia Poryckiego, w któréj on był porucznikiem, przyłączyła się do oddziału Hetmana Żołkiewskiego, wysłanego przez króla dla odparcia Rossyjan spieszących z najemnymi Niemcami na pomoc i odsiecz Smoleńska. Żołkiewski wziął z sobą nie więcéj nad 3,000 ludzi z cztérema działami, mając zamiar rozgromić 60,000 wojska Rossyjskiego, opanować Moskwę, strącić Szujskiego z tronu i wprowadzić nań Władysława. Śmiały hetman uderzył na obwarowany nasz oboz pod Kłuszynem: bitwa była zaciętą; Rossyjanie mężnie walczyli, Polacy potykali się zapamiętale; każdéj ich rocie przychodziło się iśdź do sprawy po razy 10 i 12; rota Poryckiego wytrzymać musiała bój najsilniejszy; długo na niepewnéj szali ważyło się zwycięztwo i już chorągiew Rzeczypospolitéj blizką była upadku; lecz Niemcy nas zdradzili i wojsko nasze zbite na głowę tył podało pierzchając ku Moskwie. Żołkiewski pędził w ślad za niém, podszedł pod Stolicę, gdzie już Szujskiego zrzucono z tronu, zawarł z Bojarami traktat i wprowadził na tron Carów królewicza Władysława, któremu wkrótce cała Rossyja wykonała przysięgę. We wszystkich tych sprawach Maskiewicz brał czynny udział: w bitwie kłuszyńskiéj walczył do zupełnego znużenia i wyzucia się z sił; przez dzień cały ścigał uciekających Rossyjan; układał się z Niemcami; a pod

Moskwą, po zawarciu pokoju, odbiérał przysięgę od Bojarów i ludu prostego. Po oddaleniu się Żołkiewskiego do Zygmunta, on pozostał w Moskwie, już oddanéj w ręce Polaków, pod naczelném dowództwem Gąsiewskiego. Tutaj zabrał znajomość z niektórymi możnymi mieszkańcami Moskwy; często bywał u nich na biesiadach, weselach, na przyjacielskich wieczorynkach; oglądał stolicę, wszystkie jéj zabytki i rzeczy godne widzenia, pilnie się przypatrywał naszym obyczajóm i zwyczajóm. Tymczasem mieszkańcy Moskwy zawiedzeni w swych nadziejach, postanowili wygnać zuchwałych cudzoziemców i na głos Hermogena jednomyślnie uderzyli na Polaków. Maskiewicz pospiał zamknąć się w Kremlu razem z oddziałem Gąsiewskiego; palił i pustoszył stolicę; ścierał się z Lapunowem, z Trubeckim; niejednokrotnie wyprawiał się na podjazdy i czaty z Panem Strusiem i Chodkiewiczem. Kiedy zaś postrzegł, iż niepodobna było Polakóm utrzymać się w posiadaniu Rossyi, wrócił do swéj ojczyzny na niewiele czasów przed powstaniem Pożarskiego. W Polsce on się przyłączył do konfederatów domagających się od króla zaległego żołdu, za wojnę Moskiewską i zbrojną ręką wybierał dochody z królewszczyzny i dóbr stołowych. Nakoniec otrzymawszy wszystko czego żądał, zaprzestał burzliwéj swéj czynności mając już stopień pułkownika.

„Maskiewicz pisał szczegółowy dyaryusz od roku 1594 do 1621 o wszystkiém co się wydawało mu uwagi godném, co sam po większéj części widział i do czego należał, co w nim wzbudzało radość lub smutek. Zapisując dzień po dniu, jedynie dla siebie, bynajmniéj nie myśląc o potomności. On opowie nam o najściu Nalewajki, o śmierci ojca, o weselu po szlubie siostry, o zatargach króla z rokoszanami, o złodzieju Tuszyńskim, o zaginieniu pałasza, o oblężeniu Smoleńska, o bitwie pod Kłuszynem, o zburzeniu Moskwy, o głodzie, mrozie, o kapuście we wsi Rodnie, o zgubie szmaragdowego krzyżyka, o bohatyrze Lapunowie, o rozpustniku Brzezickim, o djabłach, biesiadach, o bitwach Żołkiewskiego z Turkami. Dzieła podobnego rodzaju zawsze mają nieporównaną wartość dla potomności: nawet kronika klasztorna—rękopism w głuchém odosobnieniu zakonnika, zbierającego rozmaite sądy i wnioski gminu, może wyjaśnić wiele, czego niepodobna znaleźć w najważniejszych aktach publicznych Państwa. Maskiewicz zaś widział własnémi oczyma takie sprawy, jakie najpodobniéj nigdy się nie powtórzą. Nie dosyć tego: on patrzał na rzeczy okiem postrzegacza, opisywał wszystko co widział nie bez sztuki, a co najważniejsza, lubił mówić prawdę. Jak Polak, nieprzyjaciel Rossyjan, mógł nas niekiedy bezzasadnie obwiniać; przynajmniéj ślepa zawziętość i uprzykrzone przechwalanie

się, stanowiące cechę wielu innych pisarzów polskich, nie kierowały piórem jego: w niczém nas nieszczędząc, nie ochraniał też i swoich. Dosyć jest zwrócić uwagę na opisanie oblężenia Smoleńska, bitwy pod Kłuszynem, zburzenia Moskwy, aby widzieć potwierdzenie naszego zdania o wielkich zaletach tego autora: jak źrzódło do badań histotycznych z epoki Samozwańców, dzieło jego niemniejszéj jest wartości od pamiętników Bära i Margereta.

„Dyaryusz Maskiewicza dotąd nie był w całości wydanym. Niemcewicz w swoim *Zbiorze pamiętników historycznych o dawnéj Polsce* (tom II. p. 341—432) wydrukował zeń tylko wybrane miejsca, podług rękopismu pełnego błędów i uchybień z wielą opuszczeniami ważnémi dla historyi naszéj owych burzliwych czasów. W wydaniu Niemcewicza, nie ma ani opisania Moskwy, ani obrazu naszych obyczajów. Pilnie porównywałem go z będącym u mnie rękopismem i znalazłem do 40 miejsc opuszczonych, mniéj lub więcéj ważnych; niektóre opuszczenia rozciągają się na 20 stronic i więcéj. Tłumaczyłem ten dyaryusz z rękopismu zupełnego, chociaż nie zbyt dawnego, lecz pisanego poprawnie, jaki z Akademii jezuickiéj w Połocku, został oddany do bibliioteki departamentu spraw duchownych obcych wyznań. Winien go jestem łaskawym względom i światłéj gorliwości o wzrost nauk JW. D. N. Błudowa. Rękopism

Połocki w 16 część arkusza, nowszém pismem, składa się ze dwóch części: w piérwszéj zawiéra się *Commentarius Alberti Stanislai Radziwill, Cancellarii Magni Ducatus Lithuaniae* (Historyja w listach Zyggmunta III., Władysława IV. i Jana Kazimierza); w drugiéj (str. 264) Dyaryusz Samuela Maskiewicza. Do wyszukania tego rękopismu wielce przyłożył się i dopomogł mnie, znany nasz literat K. S. Serbinowicz, z którego rad korzystałem i w samym przekładzie. Niemniéj winien jestem oświadczyć wdzięczność Wielebnemu JX. Stacewiczowi Zakonu Dominikańskiego, niepospolitemu znawcy dawnego języka Polskiego, który jedynie z zamiłowania w Historyi Rossyjskiéj, miał najczynniejszy udział w mojéj pracy. Nie mam potrzeby mówić, iż w przekładzie moim czytelnik nie znajdzie najmniejszego opuszczenia w porównaniu z oryginałem. Nic nieznaczące i błahe wiadomości bynajmniéj nieodnoszące się do głównego przedmiotu, starałem się oddadź ze wszelką dokładnością: albowiem wtenczas tylko możemy ocenić autora, kiedy go poznamy w zupełności."

— O OBOWIĄZKACH LUDZI, SYLWIUSZA PELLICO. PRZEŁOŻYŁ Z WŁOSKIEGO P. J.— WILNO. — DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.— 1835 in 8vo str. 150. — VIII.

„Dziełko to, powiada jego autor, w przemowie, lubo ma na celu jednego tylko mło-

dzieńca, ogłaszam w nadziei, iż może bydź pożytecznêm dla całéj młodzi.

„Nie są to głębokie badania naukowe; mniemam, iż obowiązki cnoty i Religii nie potrzebują genijalnych dowodów. Kto ich zanie znajduje w swojém sumnieniu, nigdy zapewne nie znajdzie w książce. Jest tu tylko proste wyliczenie obowiązków, jakie ma człowiek w wypadkach życia, i zachęcenie do stałego ich wykonania.

„Zamiarem moim było unikać wszelkiéj wystawy myśli i stylu. Przedmiot zdał mi się wymagać najczystszéj prostoty.“

Czci godny autor dostatecznie swojemu cnotliwemu przedsięwzięciu odpowiedział. Tłumaczowi polskiemu pozostaje chwała wybrania za przedmiot swéj pracy dzieła, tak zacny cel mającego, niemniéj z wykonania jéj szczęśliwie. Chociaż nie szkodziłoby może, ażeby staranniéj toków obcych mówienia unikał i nie wprowadzał do mowy naszéj cudzoziemczyzny, która jéj rodzinny charakter, w dzisiejszych pismach, zmienia i zaciera.

Cała ta książka składa się z trzydziestu dwóch rozdziałów, z których każdy wyłuszczeniu ważnego jakiegoś obowiązku, w życiu ludzkiém jest poświęcony.

Wydanie wszystkim warunkom, jakichby tylko słusznie wymagać można było czyni zadosyć.

— Rozprawa o muzyce i skrzypcach, przez Hieronima Pomarnackiego.—Wilno.

w Drukarni Antoniego Marcinowskiego. — 1835. in 8vo str. 36.

„Z ciągu téj rozprawy, mówi autor, przy jéj dokończeniu, napisanéj z powodu przybycia do Wilna JP. Lafont, można już poniekąd sądzić o blizkim związku muzyki z sercem ludzkiém, jako też łatwo się domyślać o jéj połączeniu z umiejętnościami, sztukami pięknémi i filozofiją. Nie należy zatém uważać sztukę muzyki, jak częstokroć bywa, za narzędzie tylko rozrywki lub wesołości, albo jako sposób przepędzenia kilku chwil tęsknoty życia, lecz o jéj wpływie większym na stosunki towarzyskie i na byt moralny człowieka, wątpić też się nie godzi. Gdyby podług téj skali chciano zawsze sztukę szacować, zmnieyszyłaby się zapewne liczba, tak nazwanych rzemieślników muzyki, lekcyje rzetelne, obrazy słuchu, zjednałyby inny szacunek, trudność moralna, fizyczna i kunsztowna koncertów, lepiéj poznaną, oraz większa liczba znakomitych artystów, nade wszystko, kraj nasz zdobićby mogła, i t. d.“

Autor występuje z obszerną erudycyją nie tylko w sztuce muzykalnéj, przez wzmianki i sądy o najcelniejszych, różnych krajów i czasów, artystach, lecz w ogólności w sztukach nadobnych, tudzież w naukach dalszy lub bliższy związek z niémi mających. Gruntowność swoich w téj mierze poznań, oświadcza się okazać w mającém wyjśdź dziele przez niego wypracowaném we dwóch tomach: I, *O harmonii, literaturze muzyki* i *akustyce;*

II, *o związku muzyki ze sztukami pięknémi i umiejętnościami*. Napisał także: *Metodę na skrzypce*, którą wydadź na jaw zamierza. Tak światła i gorliwa pracowitość, w przedmiocie, zbyt mało jeszcze, u nas, w sposób naukowy traktowanym, na wszelkie zachęcenie zasługuje.

SPISANIE RZECZY W CZĘŚCI DZIESIĄTEJ ZAWARTYCH.